

KSIĄŻKA DLA TADZ I ZOS

Napisała
MARJA KONOPNICKA.

CZYTANIA DLA TADZIA I ZOSI.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarz. J. Gadowskiego.

JASKÓŁECZKA.

JASKÓŁECZKA.

Ledwie zadnieje ten dzionek, ten biały, zaraz nasza jaskółeczka pod oknem szczebioce:

Wstańcie dzieci! wstańcie dzieci,
Bo już słonko złote świeci.
Kto nie widzi rankiem słońca,
Temu smutny dzień do końca.
A kto ładnie wstaje rano,
Ten zje piwo ze śmietaną.

Jak tylko to usłyszy Tadzio, wnet się z łóżeczka zrywa i zaraz Rozalię o wodę prosi, zaraz się myje, czesze, ubiera aż miło, a jaskółeczka wciąż mu przyśpiewuje:

Śpiesz się chłopcze, śpiesz mój mały,
Bo już wróble dawno wstały,
Wody z rzeki nanosiły
Beczkę piwa nawarzyły.

Słucha mój Tadzio, słucha, ale się tylko uśmiecha. Gdzieżby tam zaś wróble piwo miały warzyć! Ubrał się ładnie, czyściutko, idzie ojcu i mamie dzień dobry powiedzieć.

Ale mały Janek to wcale co innego, ten aż na głowę kołderkę ściąga, żeby jaskółeczki nie słyszeć i słonka nie widzieć, a ocząt nie otwiera nawet, a buzię tak krzywi, że aż się Rozalia z niego śmieje. Taki śpioch!

Nasza jaskółeczka śpiochów nie lubi, sama raniutko wstaje, z gniazdka wylatuje, muszki dla dziatek swoich chwyta, czarne piórka w stawie macza! Tu jest, tu jej niema; tylko się miga w oczach, taka zwinna! Kot z folwarku, stary Matus, siedzi pod ścianą, zmrużył zielone ślepki i mruczy a patrzy na jaskółeczkę. Radby się z nią bliżej zapoznać, ale nim Matus głowę obróci, już jaskółeczka trzy razy w kółko obleci staw cały i na ramie okna siędzie, główką kręci i tak Jankowi przyśpiewuje:

A ty Janku, mały panku,
Stało mleczko w białym dzbanku,
Jak się muszki dowiedziały,
Wszystko mleczko wylizały.

Słucha Janek, słucha, strasznie mu markotno. Otworzył jedno oczko, otworzył drugie, radby wiedzieć, czy jaskółeczka prawdę mówi, czy też tak sobie z niego żartuje. A ptaszyna wciąż główką kręci i szczebioce:

A ty, Janku, mały śpiochu,
Wysiał czyżyk garniec grochu.
Garniec grochu, garniec maku,
A z śniadania ani znaku.

Już też Janek dłużej wytrzymać nie może, jak nie zaciśnie ocząt piąstkami, jak nie zacznie beczeć: Au... au... zupełnie jak ten wilczek w boru. Przybiega Rozalia do Janka, myśli, że mu się tam Bóg wie co zrobiło, ale z Jankiem ani gadania... beczy a beczy, aż się po domu rozlega. Jaskółeczka zawsze żwawa i wesoła, strasznie mazgajów nie lubi; jak tylko więc Janek mazać się zaczął, ta mu zaraz przyśpiewuje:

A mój Janek dudki stroi,
Kto usłyszy, to się boi!
A mój Janek śpiewa pięknie,
Kto usłyszy, to się zlęknie!

Głaszcze Rozalia Janka po główce, głaszcze po buzi, a mój Janeczku, moje złotko!

A co ci to? czegoż to mi tak płaczesz? I dopytała się jakoś, że muszki mleczko wylizały ze dzbanka. Jak się też dopytała, tak w śmiech.

— Któż ci to powiedział?

— A jaskółka powiedziała! — mówi Janek.

— E, bo ci się, widzisz Janeczku, tak tylko śniło, boś za długo spał.

— Ale! śniło! — maże się dalej Janek — nie śniło mi się, tylko naprawdę jaskółeczka powiadała!

— No — powiada Rozalia — to wstańże pręciuchno, pójdziemy zobaczyć, czy to prawda, że muszki mleczko wylizały.

Dopieroż mój Janek z łóżeczka wstał, pozwolił się umyć, ubrać i poszedł do stołowego pokoju, gdzie stało jego mleczko. Rozweselił się zaraz i przyrzekł Rozalii, że już będzie raniej wstawał.

Właśnie wtedy, kiedy Tadzio zaczął się uczyć, nasza jaskółeczka siadła sobie na gałązce wprost okna i znów kręci główką a przygląda się mu i tak przyśpiewuje:

Zielona wiosna, śliczny maj,
Uczą się dzieci, pójdziem w gaj,
Pójdziemy w gaj i na łany,
Jest tam koniczek bułany!

Janek niezmiernie koniki lubi. Jak tylko usłyszał, że jaskółeczka o bułanku śpiewa, zaraz wziął elementarz, siadł przy Tadziu na małym stołeczku i wodząc paluszkiem po literkach, bąka:

A... B... C... D...

Bąka i bąka; nieraz mu się już i ziewać zachciewa, ale się nie rusza, bo wciąż czeka na tego bułanka. Dopieroż gdy Tadzio lekcye skończy, wtedy mój Janek elementarz w kąt, a sam do zabawy.

Ale jaskółeczka nie lubi takich dzieci nieporządnych, co książeczek nie szanują i byle gdzie je ciskają. Zaraz też zaczyna główką kręcić i tak szczebioce:

Jechał czyżyk od Krakowa,
Zakręciła mu się głowa.
A ten nie wart torby sieczki,
Kto w porządku nic nie chowa.

Jak też to nasz Janek usłyszał, zawstydził się ogromnie; bo cóż to, czy to nie żarty, żeby taki duży chłopiec nawet torby sieczki

nie był wart? Więc tylko z pod oczka spojrzy, czy Tadzio przypadkiem nie słyszał, co jaskółeczka śpiewała i zaraz elementarz podnosi, z kurzu go pięknie otrzepuje i do szufladki od stolika chowa. A potem to już śmiało patrzy do okoła i idzie z Tadziem się bawić w konie, zwyczajnie jak każdy grzeczny chłopczyk.

Ale czasem tak wypadnie, że się chłopcy przy zabawie zgodzić nie mogą. Czasem Jankowi naprzykrzy się brykać, chciałby też lejce wziąć i bacikiem śmigać, ale Tadzio też woli być furmanem niż koniem; to tak nieraz obadwaj się zaperzą, jak te kogutki.

Przygląda się im wtedy nasza jaskółka, przygląda, główką po swojemu to w prawo to w lewo kręci, a widząc, że się chłopcy mało nie poczubią, tak im przyśpiewuje:

Derkacz w polu proso młóci,
Ten jest kozioł, kto się kłóci.
Derkaczowa je pierogi,
Kto się kłóci, ten ma rogi.

Jak tylko to chłopcy usłyszeli, zaraz cicho. Bo i nie dziw! Ktoby też chciał, żeby mu jak kozłu rogi wyrosły?

Zaraz też Tadzio idzie za konika, puszcza się to kłusa, to w cwał, to stępa, a i co raz to sobie zarży: „Hii... ha, ha, ha! Hii... ha, ha, ha!“ A Janek biczykiem nad nim śmiga i pokrzykuje: „wio koniku, wio!... albo też Janek ściąga lejce i woła: Aprr... Aprr... I tak się bawią aż miło.

Kiedy chłopcy idą na obiad, to im jaskółeczka znowu przyśpiewuje:

Chodźcie tu goście
Po lipowym moście;
Kiedy sami jecie,
To mnie z sobą proście.

Tadzio i Janek uśmiechają się tylko. Ba! oniby chętnie jaskółeczkę z sobą prosili, ale wiedzą, że to tylko żarty.

Czasem wszakże przy obiedzie Janek bywa niegrzeczny, serwetkę zrzuca, rosołu jeść nie chce, obrus plami, legominy się napiera, chlebek niepotrzebnie kruszy, wodę rozlewa. Rady sobie z nim dać trudno. Nasza jaskółeczka znów główką na to kręci, czarnemi oczkami na Janka spogląda, aż tak mu zaszczebioce:

A ty Janku, taki panku,
Będziesz jadał obiad w ganku,
Będziesz jadał obiad w sieni,
Nie dostaniesz nic pieczeni.
Będziesz jadał same kości
U Filusia jegomości!

Filuś, to był piesek taki czarny, nie duży, co go do pokoju nie puszczali, bo był nieporządny i niegrzeczny.

Janek aż w ogniach cały stawał, jak takie śpiewanie jaskółeczki usłyszał. Zaraz łokcie ze stołu zdejmował, nóżkami przestawał machać, łyżkę i widelec kładł uważnie, ażeby obrusa nie splamić, a Rozalii prosił, żeby mu serwetkę zawiązała pod bródkę; tak się bał z Filusiem w sieni jadać!

Po obiedzie szli chłopcy w pole albo też do lasu, na jagody, na grzyby. Jaskółeczka także wylatywała daleko, żeby dziateczkom swoim pożywienie przynieść. Leciała w zwyż, leciała w dół, czarne jej piórka, tylko się w cichem powietrzu migały. Co przyleci do gniazdeczka, to żółte dzióbki sterczą do około otwarte, a każde z pisklątek woła: jeść! jeść! Oj napracowała się nie

mało, napracowała, nim się jej dziecinki najadły i spać poszły.

Już też i słonko się zniżyło nad pola, nad łąki i chłopcy wracali do domu, niosąc to kwiatki śliczne, to borówki, to rydze w koszyczku. Tadzio, jako chłopczyk starszy, to tylko na kijek sobie wierzchem siądzie i jedzie, aż się za nim kurzy; ale Janek ledwo idzie, tak go nóżki bolą. Płakałby nawet i już mu się buzia sama krzywi, ale się boi, żeby mu jaskółeczka znów o tych dudkach nie zaśpiewała.

A jaskółeczka do samej bramy naprzeciw chłopców wylatuje i tak im szczebioce:

Siwe gołębie leciały,
O mego Janka pytały:
A gdzie ten Janek nieboże,
Co zajść do domu nie może?

Nie może? — mówił sobie Janek. — Oho! poczekajno moja pani! Zaraz ja ci pokażę, jakim to ja mocny! I zbierał się, co tylko siły miał w nóżkach i biegł za Tadziem wesoło, nibyto udając małego źrebaczka.

A tam już przed domem był stół ustawiony, a na nim mleko, chlebek, bułeczki.

Jedli tedy chłopcy grzecznie, a potem biegali sobie dokoła trawnika przed domem, póki Rozalia nie zawołała na Janka, że już czas iść spać. Już i jaskółeczka zabierała się do snu w gniazdku swojem małem, gdzie na nią czekały dziatki, ale nim usnęła, tak jeszcze na dobranoc Jankowi zaśpiewała:

Zaszło słoneczko w morze już,
O mój Janeczku oczki zmróż.
Zaszło słoneczko, przyszła noc,
O mój Janeczku! dobranoc.

KAJECIK PAWEŁKA.



KAJECIK PAWEŁKA.

Pawełek dostał od ojca na gwiazdkę śliczny niebieski kajecik. Długo myślał, coby tu z nim zrobić? Czyby rysować żołnierzy? Czy może konie? Czy domki i drzewa? Aż się nareszcie namyślił i postanowił zapisywać w tym kajeciku to wszystko, co tylko ciekawego usłyszy, albo rozmaite zabawy.

Zaraz nazajutrz usiadł Pawełek przy stoliku, rozłożył przed sobą swój niebieski kajecik, umaczał ostrożnie pióro i tak pisać zaczął:

„Widziałem dziś piękny rysunek. Przedstawiał on izbę w prostej chłopskiej chacie we wsi Sokołówce, a w tej izbie, na łożu zasłanem skórą niedźwiedzią, leży Stefan Czarniecki, wielki rycerz i hetman, który bił Szwedów tęgo, aż musieli uciekać z pod Częstochowy, którą nam zabrać chcieli. Ale

potem na inną wojnę poszedł i był ranny, i w tej chacie go złożyli towarzysze jego, a teraz się z nim żegnają. Wielki jest smutek w tej izbie i wszyscy płaczą, że takiego wodza i rycerza utracić muszą. Pospuszczali głowy, załamali ręce, któż ich teraz na wojnę prowadzić będzie? A przy łóżku Czarnieckiego stoi koń jego siwy, towarzysz wierny, co w różnych bitwach razem z nim bywał i nic się nie bał. Stoi ten koń przy nim i także się smuci, a rży żałośnie, bo czuje, że już swego pana i rycerza nosić na wojnę nie będzie. A Czarniecki rękę wyciągnął i głaska jego grzywę i patrzy tak, jakby mówił: „Bądź zdrów, mój towarzyszu! Już ja na ciebie nie wsiędę i Szwedów bić nie będę. Już odchodzę z tej ziemi, com jej wiernie bronił“.

Długo patrzyłem na ten rysunek i myślałem sobie, że jak Szwedy jeszcze kiedy przyjdą, to ja od stryjka z Lipowej też siwego konika dostanę i tak Szwedów pobijemy, że tylko się za nimi kurzyć będzie — tak będą zmykali!

W tydzień znów potem Pawełek przy

stoliku usiadł, kajecik niebieski przed sobą położył, pióro umoczył i tak pisał:

„Dowiedziałem się dzisiaj o drugim rycerzu, który się nazywał Karol Chodkiewicz, a bił się z Turkiem. Ten Turek nazywał się Osman. Zebrał on wielkie wojska, wyszykował różne bronie, przyprowadził z sobą wielbłądy i ogromne skarby i chciał dojść aż do Wisły, żeby tam konie swoje poić i żeby to się nazywała jego rzeka i jego ziemia. Ale mu się to wcale nie udało, bo Karol Chodkiewicz, który był wodzem i hetmanem jakich mało, zwołał swoich rycerzy, i zaraz wszyscy u jego boku stanęli. A choć ich było niewielu, a Turków nieprzeliczone mnóstwo, jednak się im rycerze Chodkiewicza nie dali, tylko się bronili przez czterdzieści dni w takim zamku, co się nazywał Chocim. No, i ci Turcy ze swoim Osmanem, co podejdą pod ten Chocim, to jak ich Chodkiewicz po swojemu przywita żelazem, to oni w nogi. I tak ten zamek Turcy zdobywali i zdobyć go nie mogli. Aż widząc, że garstka rycerzy Chodkiewicza mocniejsza i dzielniejsza niż całe ich wojsko, poszli sobie tam, zkąd

przyszli, do swojego kraju, a tu do Wisły żaden się nie dostał, chyba ten, co się w niewolę dostał. Takto Chodkiewicz swojej rzeki bronił. A cóżto? nie moglito Turcy w swoim kraju siedzieć, kiedy im go Pan Bóg dał, nie cudzego pragnąć? Dobrze im tak! Ja ich tam wcale nie żałuję. Teraz sobie myślę, kto był większy wojownik, czy Chodkiewicz Karol, czy też Stefan Czarniecki?

Jak będę duży, to do tego Chocima pojadę, żeby choć to miasto zobaczyć, gdzie taki wielki rycerz bił się i Turka przemógł. A o to, kto większy z tych dwóch hetmanów, to się muszę ojca spytać".

Kiedy to Pawełek zapisał, zrobiło się już ciemno, więc zamknął swój niebieski kajecik i poszedł do ojca.

Jeżeli znów kiedy co napisze, to wam opowiem.

CO KURTA ROBIŁ W PODWÓRKU?

CO KURTA ROBIŁ W PODWÓRKU?

Pan Kurta miał w podwórku niemało roboty; za dużo nawet jak na psa o trzech tylko nogach, bo czwartą już dawno postradał w jakiejś wojennej przeprawie.

Zaledwie zrana, pan Pietuch Pietusiński, czerwony kogut z drugiego podwórka krzyknął mu przez płot: „Dzień dobry sąsiedzie“ — zrywał się zaraz Kurta, biegł do sionki i łapą we drzwi skrobał, póki gospodyni po wodę z wiadrem nie wyszła. Skakał tedy koło niej pan Kurta wesoło, bo wiedział, że ta woda to na barszcz, na śniadanie i że jak się gospodarze najedzą, to mu też resztkę dadzą.

Ale do tego śniadania to jeszcze daleko. Gospodyni wodę do chaty wniosła, skopek wypłukała, wzięła stołek i poszła do obórki krowę doić. Pan Kurta wie, że tam niepotrzebny, mógłby jeszcze mleko

wylać. Nie idzie więc do obórki, tylko się uwija koło gospodarza, który kosę na progu chaty klepie i wybiera się kosić łąkę. Słonko weszło pogodnie, rosa aż pachnie z pola, skowronki w powietrzu dzwonią jak te dzwoneczki Boże. Gospodarz rad z takiego złotego dzionka, tylko sobie pogwizduje, a pan Kurta ogonem macha i także się raduje, choć sam nie wie czego.

— Pamiętaj, Kurta — mówi gospodarz — żebyś mi tu domu pilnował, jak gospodyni poniesie w pole śniadanie albo i obiad. Niech cię Bóg broni, żebyś tu jakiej szkody dopuścił, miałbyś ze mną sprawę!“ — Pan Kurta wie, że sprawa z gospodarzem niebardzo bezpieczna dla jego grzbietu, podwinął tylko ogon i łasi się i naszczekuje zcicha, jakby mówił: „już tylko wy się nie bójcie, gospodarzu, już tu wszystko będzie dobrze“.

Wyleciały z gniazda jaskółki na świat Boży, a z izby wyszedł Maciuś i dalejże do Kurty.

— A mój Kurta! A moje psisko! a cóżeś ty w nocy robił?

Tu mój Kurta opowiada jak umie, a wtem już gospodyni od doju wraca. Zaraz też Maciuś krajką się podpasuje, bierze w rękę okropne biczysko i krówkę na pole wygania. Za krową pędzi cielak zadarłszy ogona. Pan Kurta w skok za nim. Wiadome rzeczy, cielę głupie, w szkodę wpaść może, a i krowa też rada skubnąć co nie dla niej: rozsadę albo co. Więc Maciuś biczem śmiga a Kurta zagania to od prawej, to od lewej strony, aż ich wszystko troje szczęśliwie za wrota wyprawił. Okrutnie się przytem naszczekał i zmęczył, więc wpadł do chaty i siadł sobie na dwóch łapach przed kominem, gdzie gospodyni właśnie gotowała śniadanie. Woda wre, kipi, mój Kurta tylko macha ogonem z uciechy; wtem mała Maryś odetchnęła i zapłakała w kołysce. Pan Kurta niezmiernie lubi małą Marysię, zrywa się tedy od komina i sztykut, sztykut, biegnie do kąta, gdzie kołyska stoi i łeb na nią zakłada i Marysinę buzię czerwonym językiem liźnie raz i drugi. Jak tylko Maryś Kurtę zobaczyła, zaraz się rozśmiała; a tu już gospodyni barszcz dymiący na mi-

skę wylewa, dwojaki szykuje, jedne dla gospodarza, drugie dla Maciusia; sama też podjadła, do reszty trochę wody dolała i zawołała:

— Na tu, Kurta, na!

Pan Kurta nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Bywał on zwykle przy dobrym apetycie, a zrana to mu się zdawało, że byłby zjadł całego wołu, naturalnie, gdyby tak był... wilkiem. Skoczył tedy do misy, łeb w niej zanurzył i chlap, chlap, chlap, chlap! wychlapał wszystko do czysta a resztę dobrze wylizał. Gospodyni tymczasem małą Marysię nakarmiła, umyła, włoski jej zaczesała, koszulkę czystą włożyła i posadziła ją na piasku przed chałupą. A tu już kury gdaczą w komórce, wypuścić je trzeba; poszła gospodyni do komórki zobaczyć, czy która kokoszka jajka nie zniosła. Zaledwie drzwi otworzyła, wszystkie kury z okrutnem gdakaniem i trzepotem wyleciały na podwórko, ponad głową, ponad płotem, gdzie! kto ich tam dogoni! A mój Kurta za niemi! Kury gdaczą, Kurta szczeka, nibyto je zagania, a jeszcze bardziej płoszy, gospodyni

krzyczy: Kurta tu! Kurta na! Do nogi Kurta! tu!

Wszystko na nic! Jak zaczął gonić jarzębiatą kokoszkę, tak jej wyrwał dwa pióra z ogona i dopiero wtedy się uspokoił zgrzany, zziajany z wywieszonym językiem.

Więc go gospodyni raz i drugi przez łeb trzepnęła, ale niewiele, bo jej było pilno nieść w pole śniadanie. Wzięła dwojaki, Kurta za nią miłosiernie patrzy, radby też w pole razem...

Ale gospodyni nogą tupnęła: — A leżeć! — więc się zaraz przy Marysi położył, bo wiedział, że to jego rzecz dziecka pilnować, kiedy starsi w polu.

Skrzypnęła furtka, gospodyni wyszła; Marysia w piasku grzebie się jak ten wróbel, a Kurta muchy łapie, ale nic złapać nie może. Co mu która mucha na nosie usiędzie, to on kłap pyskiem, a moja mucha już gdzie... daleko...

Aż mu się to sprzykrzyło, więc się wyciągnął i chrapnął sobie. Tak chrapał, że nie słyszał nawet, jak Marysia płakać zaczęła. Płacze Marysia, płacze, a tu gospo-

dyni do domu wraca. Usłyszała głos dziecka i zdaleka już woła:

— Co ci to Maryś, co! cichoj córeczko, cichoj!

Zerwał się Kurta jakby nigdy nic i raduje się a ogonem macha i w oczy gospodyni patrzy, właśnie jakby mówił: — A to czysta bieda z temi dziećmi, proszę pani gospodyni! Co się tu tej Marysi nie nabawiłem, nie naperswadowałem i to wszystko na nic! Maże się to maże, sama nie wie czego. A o tem, że spał przez ten czas, to ani piśnie. Nakarmiła gospodyni Marysię, uśpiła, ugotowała obiad, zjadła, statki pomyła, Kurcie też zacierek z serwatką dała. Mój Kurta jakby jeszcze nic dziś w pysku nie miał, chlap, chlap! wychlapał i wylizał wszystko do czysta. Przygotowała gospodyni znów dwojaki i niesie obiad w pole, a Kurcie przykazuje: — Pamiętaj, Kurta, żebyś tu chałupy pilnował. Niech ręka Boska broni, żeby się tu co miało stać!

Pan Kurta ogonem macha, podskakuje, zupełnie jakby obiecywał, że wszystko bę-

dzie dobrze, a kiedy gospodyni na skobelek izbę zamknęła, położył się na progu i warczy.

— Będę warczał, myśli sobie, to jak tu przyjdzie jaki dziad, albo kto, to zaraz sobie pomyśli: „to jakieś zjadliwe psisko i pójdzie dalej“. Warczy więc i nogi pod siebie podkulił, żeby nie było widać, że ma tylko trzy, boby go się może nie bali. A tu słonko przygrzewa silnie, a drogą, co wóz przejedzie, to kurzawa taka powstaje, że strach. Zdala, zdaleka, słychać klepanie kos i stukot grabi i głos Maciusia jak zawodzi na pastwisku: „Dana, oj dana!“. I tak to wszystko jakoś razem zmorzyło pana Kurtę, że warczał coraz ciszej, aż nareszcie westchnął, ogon pod siebie podwinął i znów chrapnął. Aż tu furtka skrzyp, skrzyp.... wszedł dziadek siwy, żebrzący z sakwami na plecach i koszturem w ręku. Wszedł i od furtki zaraz się odzywa: „Niech będzie pochwalony!“ — a mój Kurta jak nie skoczy, jak się na dziadka nie porwie, jak nie zacznie ujadać: ham! ham! ham! ham! aż ochrypł. A co go najbardziej gniewało, to, że dziadek nic sobie jakoś z tego szczeka-

nia nie robi, tylko się zwolna koszturem opędza, a pacierz sobie mówi. Już głosu z siebie Kurta dobyć nie mógł, tak się zmordował, kiedy gospodyni nareszcie wróciła z pola. Jak zobaczyła dziadka, tak zaraz na Kurtę: A cicho! a leżeć! do nogi! a nie rusz! Uspokoił się też Kurta nieco i pod próg leżeć poszedł. Ale co spojrzał na dziada, to się w nim jeszcze gotowało ze złości, i coraz to warknął i zęby pokazał.

Leży sobie mój Kurta i zęby pokazuje, aż tu wieprzak wyrwał się z chlewka. Gospodyni za nim: „A do chlewa! A do chlewa! A ciu!“ Zerwał się i Kurta i dalej za wieprzkiem; co prawda, niebardzo mu się chciało tak uganiać, bo się z tym dziadem już okrutnie zmordował, ale bał się gospodyni. Mogłaby mu kartofli na wieczór nie dać i dopieroby było! A gospodyni jak na złość woła: Nuż go, Kurta! Niby tego wieprzka, — mój wieprzak w ogród. Kurta za nim, tylko smyrgnął przez płot; zaleciał z prawej strony, wieprzak w lewo; zaleciał z lewej, wieprzak w prawo. Oj nameczył się niemało,

zanim go nareszcie przy pomocy gospodyni z ogrodu wypłoszył i do chlewka zapędził.

Dopadł potem do studni i z koryta wody się napił, a potem pod gruszą co na podwórku rosła na trawę się rzucił i dyszał, wywiesiwszy język. Właśnie i słońce zniżać się poczęło. Od pastwisk, od boru słychać było klaskanie biczów i poryk wracającego bydła, gospodyni nawoływała swoje kokosze na grzędę, wieprzak krząkał przy pełnem korycie, a siwy dym ulatywał z białego komina, bo już się warzyła wieczerza.

Słuchał tego i patrzył na to Kurta, bijąc lekko ogonem o ziemię, aż gdy usłyszał Maciusiowe granie na fujarce, skoczył, żeby mu pomódz zapędzić krówkę do obory. A nie tak krowę jak cielę, bo krówka zawsze sama do obory szła, a cielęciu to się coraz zachciewało gdzieś bieżeć. Więc Maciuś za niem, za Maciusiem Kurta, a cielę bryka! Byliby tak w kółko do północka biegali; ale że gospodarz nadszedł z kosą na ramieniu i cielęciu drogę zastąpił, więc je już potem łatwo Maciuś do obórki nawrócił.

Gospodarzowi od dziennej roboty na

skwarze słonecznym aż koszula do pleców przylgnęła a pot mu na czole stał jakby rosa. Siadł też ciężko na ławie przed chatą, a koło siebie oparł kosę błyszczącą jak srebro. Nim gospodyni misę z ziemniakami i z mlekiem kwaśnem wyniosła, poklepał Kurtę po łbie, a widząc, że wszystko w porządku, rzekł: Dobre psisko! Dobre psisko! Uradował się Kurta z tej pochwały, aż zaskomlał z uciechy, a kiedy wreszcie ogień w izbie zagasł i wszystko się uciszyło, on zasiadł przed progiem i patrzył, pilnując chaty swoich gospodarzy.

Gwiazdy już weszły i księżyc błysnął, a Kurta przez sen jeszcze poszczekiwał i mruczał, jak na wiernego stróża przystało.

LALKA MAŁGOSI.

LALKA MAŁGOSI.

— Mamuniu! — wołała Małgosia, biegnąc do pokoju mamy.

— A co chcesz dziecinko? — zapytała mama.

— Chciałam mamuni powiedzieć, że się już moja lalka nie będzie nazywała Mimi, tylko, że będzie się nazywała Urszulka.

— A to dlaczego? — zapytała mama.

— Bo widzi mamunia, ja dziś rano przeczytałam w książeczce, że dawno już temu, ze trzysta lat może albo więcej, żył Jan Kochanowski, który pisał różne wiersze i że ten Kochanowski miał małą córeczkę, której było na imię Urszulka.

— No i cóż dalej? — zapytała znów mama.

— Tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie on z tą córeczką mieszkał...

— W Czarnolesiu — rzekła mama. — Nazywano go też Janem z Czarnolesia.

— Tak, tak! W Czarnolesiu! Więc tam była taka wielka stara lipa, pod którą Kochanowski siadał i różne wiersze pisał; a przy nim bawiła się Urszulka. Ale nie bawiła się tak, jak inne dzieci, nie przeszkadzała ojcu, nie hałasowała, tylko sobie kwiateczki zbierała i śpiewała piękne piosenki. A tych piosenek, to jej nikt nie uczył, sama już z siebie tak umiała śpiewać, jak ten słowiczek w maju.

A włoseczki miała jakby złote i chodziła w „letniczku pisanym", to znaczy w takiej pstrej sukience leciuchnej. Raz miał przyjechać do Czarnolasu wielki wojownik...

— Hetman — poprawiła mama — Jan Zamoyski.

— Tak mamuniu, Jan Zamoyski, więc Urszulka nazbierała prześlicznych kwiatków i tak sobie śpiewała:



Przyjedzie tu rycerz,
Ojcu, matce drogi,
A ja te kwiateczki
Rzucę mu pod nogi.

I to ona tak sama z siebie śpiewała, proszę mamuni i różne inne piosneczki, jak ptaszek jaki.

— No i przyjechał ten rycerz? — zapytała mama.

— A jakże, przyjechał! Z bardzo wielkim dworem i bardzo wspaniale przyjechał, a na nim wszystko tylko błyszczało od złota, od srebra...

— A przywiózł też z sobą dzieci?

— Nie, mamuniu! Ten Jan Zamoyski nie miał dzieci i bardzo się tem smucił. Więc kiedy się bawił z Urszulką i zapytał ją czy się jej podoba jego pas złoty i jego ubiory, wtedy Urszulka tak mu powiedziała:

Pięknie, strojnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie,
Ale gdybyć Bóg dał dziecię,
Dałbyś wszystko za to.

— I cóż na to Zamoyski?

— A nic! Ucałował Urszulkę i aż mu łzy w oczach stanęły.

— A mamę, miała też ta Urszulka?

— A jakże, mamuniu, miała! Kluczyki za nią nosiła, w gospodarstwie jej pomagała, gości nadobnie witała, a kiedy ojciec wracał z jakiej drogi, to zawsze wybiegała naprzeciw niego wpierw jeszcze niż starsze dzieci i obejmowała go rączkami za szyję i cieszyła się jego powrotem.

— No i cóż się dalej stało?

— Ach moja mamusiu! Bardzo się źle stało, bo ta Urszulka umarła. Ach, żeby mamusia wiedziała, jak jej wszyscy w domu żałowali, to strach! A najbardziej ojciec. Jak siadł pod swoją lipą, to tylko wzdychał i pisał śliczne pieśni o swojej córeczce. Te pieśni, nazywały się... nazywały...

— Treny — podpowiedziała matka.

— Tak, mamuniu, Treny. Ja czytałam, że te treny to najpiękniejsze pieśni ze wszystkich jakie napisał Jan Kochanowski. A kiedy się tak smucił, śni mu się raz, że mu jego matka przyniosła Urszulkę na ręku,

bo Urszulka taka była jeszcze mała, że ją można było na ręku nosić i że widzi swoję córeczkę taką śliczną i wesołą, jak nigdy jeszcze. Ucieszył się bardzo, a tu mu matka jego tak mówi: „Nie smuć się, miły Janie, bo twoja Urszuleczka żyje“.

— Tak jest — rzekła mama. — Żyje i żyć powinna w pamięci wszystkich polskich dzieci.

— Więc ja proszę mamusi chcę, żeby się moja lalka nazywała teraz Urszulka, i uszyję jej „taki „letniczek pisany“ i „paseczki złocone“, żeby do niej była podobna.

— A czy nielepiej byłoby, Małgosiu, żebyś ty sama starała się być podobną do niej? Żebyś była tak jak ona miłą ojcu i matce, miłą służbie i rodzeństwu, cichą, słodką i według sił pomoc wszystkim niosącą. Wszakże wszystkie dziewczynki polskie są jakby siostry Urszulki. Czemuż do niej podobne być nie mają?

Zamyśliła się Małgosia i rzekła:

— No to dobrze! Ja będę się starała

być do niej podobna. A mamunia nazwie mnie czasem swoją Urszulką?

Mama uściskała Małgosię. Ciekawa rzecz, jak też Małgosia dotrzyma swej obietnicy?

W ZAPUSTY.

W ZAPUSTY.

— Wiecie co chłopcy? — rzekł raz Antoś, — przebierzemy się w niedzielę, każdy za co innego. Dopieroż to będzie zabawa!

— A dobrze! — krzyknęli chłopcy. — Przebierzmy się!

— No to i my także! — zawołały dziewczynki.

— Co myślicie chłopcy? — rzekł Feliś — mają się dziewczynki przebierać, czy nie?

— A niech się przebierają! — Cóż to one gorszego od nas! — zawołał Karolek. — I owszem. Będą tańce.

— Tylko jakby się to przebrać? — zapytał Staś i zamyślił się bardzo.

— O, wielkie rzeczy! Jest też nad czem myśleć. Ja się przebiorę za górala, bo mam siekierkę, co mi ją ojciec w Zakopanem kupił. Wezmę serdaczek ślicznie wyszywany, na nogi zawiążę kierpcie, takie chodaki z długiemi rzemieniami, spodeńki obcisłe sukienne, pięknie na bokach czerwonym sznurkiem wyszywane, pas szeroki skórzany, ćwieczkami nabijany; gunię na to taką jak noszą druciarze, torbę skórzaną przez plecy i kapelusz opasany taśmą, muszelkami naszytą. A co? Niepięknie to będzie? A teraz jeszcze siekierka!

— No to ja się przebiorę za góralkę! — zawołała Józia. — Wezmę buciki żółte safianowe, spódniczkę modrą, serdaczek ślicznie wyszyty, do koszuli wstążkę czerwoną, warkocze zaplotę gładziutko i białą chusteczkę zawiążę na głowę.

— To będziesz musiała owsiane placki piec! — żartował z Zosi Michaś. — Bo tam taka bieda, że chleba prawie nie jedzą.

— A nie! Bo mój góral naostrzy kosę i pójdzie w doliny żyto kosić i zarobi dużo pieniędzy i będziemy mieli chleb biały, aha!

— Kiedy tak — zawołał Janek — to ja się przebiorę za Krakowiaka. Wezmę kamizelę zapinaną pięknie na guziczki, szarawary w paski niebieskie i białe, wstążkę będę miał u kołnierza czerwoną, na to kerezya granatowa z peleryną ślicznie złotem, srebrem wyszywaną, pas szeroki skórzany, na nim kółek siedmdziesiąt; te będą brząkały, gdzie się tylko ruszę, u pasa kozik na rzemyku, u butów podkówki, co z nich tylko iskry będą leciały, jak sobie w tańcu przytupnę. Na głowie biała czapeczka z pawiem piórkiem i czarnym barankiem — i co mi kto zrobi?

Tu ujął się Janek pod boki i zaczął śpiewać:

Albo my to jacy tacy, jacy tacy,
Chłopcy krakowiacy! Chłopcy krakowiacy!

Hanusi zaświeciły oczki.

— Mój Janku! mój złoty! prosiła brata, to ja będę krakowianką! Spódniczkę wezmę niebieską, galonem i wstążkami naszytą, gorsecik czerwony sznureczkiem złotym sznurowany, u rękawów i u szyi wstążki

śliczne, w warkoczach kwiatki, pończoszki białe, trzewiczki z klamerkami, fartuszek także biały.

— No dobrze! — zawołał Janek! — Ale mi się wyucz różnych krakowiaków, żebym za ciebie wstydu nie miał.

— Już się ty nie bój! — odrzekła rezolutnie Hanusia.

— Ja tam — powiedział Ignaś, — przebiorę się za Podlasiaka. Włożę sukmankę kasztanowatą z wełny takich burych owiec, w domu utkaną, czerwonym sznurkiem po bokach i u kołnierza i u mankietów wyszytą, wezmę buty z podkówkami albo skórznie wiązane rzemieniem na szarawary płócienne białe, wezmę czapkę z siwym barankiem — i już.

— To tam wcale strój nie osobliwy! — zawołał Piotruś. — Miałeś też co wymyśleć!

— A wcale że nie — broniła Ignasia Julka. — Właśnie, że ładny strój! Ja sama przebiorę się za Podlasiankę, spódniczkę wezmę płócienną w drobne kwiateczki, fartuch biały, na to kaftan taki biały za kolana, co się nazywa parcianką, głowę okręcę

białą zawijką, kwiateczek za nią zatknę czerwony, na nogi chodaczki czerwone, albo trzewiczki — i zobaczycie jak mi w tem będzie ładnie.

— No, zobaczymy! — odrzekł z niedowierzaniem Piotruś. — A ja tymczasem będę sobie mazur. Sukmanę wezmę granatową z czerwonemi wyłogami, pod nią kamizelę zieloną, opasaną wełnianym czerwonym pasem, kapelusz z wstążką granatową i tak będę śpiewał:

Jestem ja sobie mazur bogaty,
Świecą się na mnie prześliczne szaty,
Koszuleczka drelichowa
Właśnie jakby muślinkowa,
Dratwami szyta!

— No to ja tak samo się ubiorę jak ty, — rzekł Pawełek — i będę Łęczycak.

— A nie! — zaprzeczył Staś — bo Łęczycaki noszą wyższe kapelusze i jaśniejsze kamizele bez rękawów i mają szarawary z wełniaka w paski czerwone albo modre.

— A ja co będę? — zapytała Kazia. — łęczycanka, czy mazurka?

— Możesz sobie być albo taką, albo taką, jak chcesz.

— No to ja chcę być mazurką. Wezmę spódniczkę różową, fartuch w kwiatki wstążką wiązany, na to kaftan granatowy sukienny, na guziczki zapinany, pięknie z tyłu fałdowany, z kołnierzem wykładanym i wyłogami czerwonemi, taki kaftan, co to się nazywa „przyjaciółka"...

— A to zabawne! — przerwała Mania.

— A na głowie — kończyła Kasia — będę miała chusteczkę związaną, a za nią zatknięty kwiatek.

— A o mnie toście zapomnieli! — zawołał płaczliwie Józio. — Już się dla mnie nic nie zostało! Wszystkoście sobie zabrali! Jacy mądrzy!

— Ale gdzież tam! Ale nie! — bronili się chłopcy. — Możesz przecie być kujawiakiem, rzekł Michaś.

— A jakże ja się przebiorę?

— A wstyd! — zawołała Rózia, — żeby taki duży chłopiec nie wiedział, jak się kujawiacy ubierają!

— A wstyd — zawołały inne dzieci. Za-

czerwienił się Józio, a Janek tak mówił.

— Weźmiesz na siebie długi kaftan sukienny, na trzy rzędy świecących guziczków zapinany, na to pas bawełniany amarantowy; weźmiesz potem sukmanę modrą z wyłogami i podszewką też amarantową. Weźmiesz kapelusz słomiany z młodego żyta pleciony, opaszesz modrą wstążką i będziesz taki kujawiak, że aż miło!

— A ja z tobą do pary! — zawołała Rózia. — Spódniczkę wezmę niebieską, suto fałdowaną, u dołu samego czerwoną wstążką obszytą, gorset też niebieski na hafteczki zapisany, kołnierz od koszuli pięknie wyłożony, a na to długi kaftan sukienny granatowy. Na głowie zawiążę dużą chustkę, trzewiczki włożę płytkie, w ręku będą trzymała chusteczkę białą i pęczek bożego drzewka, nasturcyi i pachnącej mięty.

— Fiu! Fiu!... — zagwizdał Ignaś!

— A ja się przebiorę za Hiszpana! — wyrwał się Henryś z kąta.

— A to my się z tobą nie będziemy bawili, — zawołał Staś, — bo my będziemy

wszyscy tutejsi! To my tam Hiszpana nie potrzebujemy.

— Tak! tak! — krzyknęły dzieci! — My będziemy wszyscy swojacy!

Henryś zawstydził się mocno.

DWA LISTY.

DWA LISTY.

I.

Kochany Józiu!

Napisz mi mój Józiu, w co wy się tam na wsi bawicie, kiedy ja tu w mieście mam tyle różnych gier, różnych zabawek, a jeszcze mi brak czegoś. Mam naprzykład całe pudełko różnych łamigłówek, mam domino, mam loteryjkę, mam żołnierzy blaszanych, mam także domki i zwierzęta, które można farbami pomalowywać, mam nawet małe kręgle, a przyznam ci się, że mi czasem nudno i chciałbym w co innego się bawić, tylko że nie wiem w co. Więc mi donieś o co cię zapytuję, bo mama mówi, że ja sam jestem nudny, a mnie się zdaje, że ja

bym nie był nudny, gdyby te moje zabawki były jakieś inne.

Żegnam Cię i całuję z całego serca.

Twój przyjaciel

Karolek.

II.

Kochany Karolku!

Pytasz się mnie, w co ja się bawię? Zaraz ci odpowiem. My tu na wsi nie mamy takich gier i zabawek o jakich mi piszesz, ale i bez nich dajemy sobie jakoś radę.

Ja, widzisz, mój kochany, robię tak: mam tu na wsi kilku dobrych, porządnych chłopców, jak np. Jędruś syn naszego włodarza, Michałek syn gajowego, Marcinek sierotka, Wicek syn starej Łuczyny, Stasiek Szafarczyk, też dobry chłopiec i my się zwykle razem trzymamy. A i nas jest troje: ja i moje dwie młodsze siostrzyczki. Więc jak tylko lekcyą skończę, to zaraz szykujemy „lisa“ albo „zajączka“. Są to gry bardzo zajmujące. Żebyś ty wiedział, co my się nabiegamy, co naśmiejemy, a jakie pytki przy lisie kręcimy! Najtęższe pytki kręci

Wicek, czasem to aż łapa spuchnie! Ale to nic! Czy my to nie chłopcy? Czy my to jakie mazgaje? Panienki tylko leciutko się bije, bo to jeszcze małe, i wiesz, powiem ci szczerze, że co baba to baba, trąć ją tylko, zaraz się maże.

O! dobrze trzeba się nabiegać przy „lisie“, ale jeszcze lepiej przy „zajączku“. Jak krzykną: „Zajączek do pana!“ to mało nóg nie połamiemy, tak pędzimy na metę. Tylko się za nami piasek kurzy. No, bo przecież łatwo zgadniesz, że to nie w pokoju te nasze gry się prowadzą, tylko przed domem, albo też w ogrodzie, a czasem zgoła na gospodarskiem podwórku.

A w żołnierzy, to my się tu wcale w papierowych nie bawimy, tylko ja zaraz chłopaków zbieram, tyczki od grochu im rozdaję i dalej! Na ramię broń! Do nogi broń! A potem żwawo marsz! marsz! Do ataku broń! Cel! Pal! To ci powiadam taka mustra idzie, że strach! A ojciec na nas tylko z ganku patrzy i wąsa kręci i uśmiecha się. Czasem to zdobywamy gołębnik, albo budę Wiernusia, albo kawał płotu. To

jedna partya broni, a druga zdobywa. Oj, bitwa czasem bywa gorąca! A żeby który zemknął, to niech ręka Boska broni! Zaraz mundur z dezertera precz, broń traci, honor traci, no i za tchórza jest uważany, dopóki jakim mężnym czynem z siebie wstydu nie zmaże. Czasem też budujemy fortecę. Ja mamę proszę wtedy o płócienną bluzę, żebym nie poniszczył rzeczy i dalej do roboty! Nosimy kamienie, nosimy glinę, piasek i dopieroż z tego wystawiamy wały i mury. Stary Paweł, wiesz, taki porządkowy, daje nam też czasem kawałki drzewa odpiłowane od desek i bali, to taka forteca z tego, że i tydzień stoi i Wiernuś i inne psy się tam koło tego wałęsają a nie przewrócą. Taka ci mocna!

A czasem to się znów bawimy w Robinsona. Chłopcy moi są dzicy, a ja jestem Robinsonem. Idziemy wtedy wszyscy za ogród i jesteśmy na bezludnej wyspie. Więc ja ich uczę, jak to się zboże sieje, jak się sadzą kartofle, jak się drzewa sadzą, jak się ze lnu płótno robi, a oni krzyczą a krzyczą z zadziwienia, zwyczajnie jak dzicy.

Więc potem mama nas woła na podwieczorek, a my niby to te bułki i ser znajdujemy na okręcie; więc ogromna radość, i wracamy do Europy. To się ma rozumieć do domu.

A piłka? Mało to uciechy z piłki? Nie znam kręgli pokojowych o których mi piszesz; ale domyślam się, że te kręgle ani się umywały do palanta. Ach, żebyś ty wiedział, mój kochany, co to za pyszna gra ten palant! Wiesz? Jabym temu, kto wynalazł palanta, pomnik postawił!

Ojciec nawet gra czasem z nami razem i tak biega na metę, że to ha! A cóż? powiadają, że ksiądz Kopczyński, ten co gramatykę ułożył, też z uczniami swoimi w palanta grywał. Ja mu się tam wcale nie dziwię.

Czasem to jak krzykną: trzymaj fangę! to aż cię gorąco przejdzie. Nastawisz ręce, patrzysz, a tu piłka tylko gwizdnie w powietrzu....

Jak jaskółeczka to leci, albo kula w bitwie.

A jak bolą czasem od takiej fangi ręce.

A jeszcze jak idzie ta tęga z twardej gumy, okręcona nićmi lnianemi, to powiadam ci Karolu, tylko sykniesz, w ręce dmuchniesz, ale pieścić się czasu niema i zresztą wstyd nawet. Najwyżej fangi wyrzuca ojciec, — no nie dziw, sam jest największy; ale najdzielniej także Stasiek Szafarczyk. Ten chłopiec ma wielki talent do palanta!

Więc teraz cię już żegnam, kochany przyjacielu! Jak kiedy przyjedziesz do mnie, to razem się będziemy bawili. Wiesz, mama mówi, że my na głowach stajemy, takiego czasem narobimy harmidru! Ale to nic, bo po takiej zabawie, to nauka potem idzie też marsz, marsz. Wiesz ty, co ja sobie myślę? Oto myślę sobie, że ty się dlatego nudzisz ze swojemi zabawkami, że wszystko to odbywa się w pokoju, przy stoliku i że przy lekcyi musisz siedzieć i przy zabawie także siedzieć. Ale żebyś ty się tak wybiegał jak ja, no, tobyś ty nawet nie wiedział, że są jakieś nudy na świecie.

Nie wiem, czy ci dosyć jasno wytłomaczyłem moje zabawy, ale proś ojca, żeby

cię do nas przywiózł, to cię powyuczam wszystkich. Zapoznam cię też z moimi chłopakami, zobaczysz, co to za zuchy. Całuję cię serdecznie

Twój przyjaciel i kolega

Józio.

IMIENINY JÓZIA.

IMIENINY JÓZIA.

— Wiecie co! — zawołał Józio do swoich małych gości, kiedy i chłopcy i dziewczynki już się porządnie zmęczyły „ślepą babką“ i „zajączkiem“ — wymyśliłem nową grę.

— Jaką? jaką? — krzyknęły razem dzieci.

— A to, widzicie, siądziemy w około stołu i będziemy sobie obierali różnych sławnych ludzi, każdy podług swego imienia. To będzie taka gra w „kalendarz“. Chcecie?

— Chcemy! chcemy! — zawołały dzieci.

— Ale kiedy ja nie potrafię — mówił mały Janek.

— No to ja za ciebie! — rzekła jego siostrzyczka, Marynia.

— I będzie tak — mówił dalej Józio — że kto odrazu sam sobie obierze imiennika, to dostanie cztery orzechy, a kto nie, to nic!

— No dobrze — zakrzyknęli chłopcy,

a dziewczynki zaczęły szeptać między sobą i naradzać się wzajemnie. Chodziło im o to, żeby się przed chłopcami nie zawstydzić.

— No, siadajmy! — zakomenderował Józio.

Za chwilę dzieci siedziały przy okrągłym stole, na którym w samym środku stał talerzyk z orzechami.

— Kto zaczyna? — zapytał Józio.

— Ty zaczynaj, ty! — wołały dzieci, — to my zobaczymy, jak to idzie.

— A no dobrze! — powiedział Józio. Poczem się trochę zamyślił, aż wreszcie podniósł głowę, spojrzał dookoła i tak mówił:

— Ja jestem książe Józef Poniatowski, mam konika siwego, piękną szablę w ręku, burkę na ramieniu i biały mundur z wyłogami. We wszystkich bitwach mężnie się biłem, aż dopiero pod Lipskiem utonąłem w rzece Elstrze i tam na brzegu stoi mój pomnik.

— Ha! ha! ha! — rozśmiała się Marynia. — Utonąłeś? No, to cię już niema.

— Tylko bez śmieszków, bardzo proszę! — powiedział Józio. — Jak panny będą

chichotały, to my się sami chłopcy bawić będziemy.

Marynia się zawstydziła, a Józio tak mówił dalej:

— No, zrozumieliście, jak ta gra idzie?

— Zrozumieliśmy! — zawołali chłopcy.

— To proszę o cztery orzechy!

— Kto teraz powie?

Kolej wypadła na Stasia.

— Ja jestem Stanisław Żółkiewski — rzekł Staś. — Biłem się z Turkami i z Tatarstwem, aż zginąłem pod Cecorą, na cecorskiem błoniu, i tam leżał mój hełm, i Sieniawski, młody rycerz, znalazł go i piękną pieśń zaśpiewał, co się nazywa: „Duma o Żółkiewskim".

— Brawo! Brawo! Bardzo dobrze; — zawołał Józio — masz tu cztery orzeszki! Dalej! kto teraz?

— Teraz kolej przyszła na małą Wandzię.

Zaczerwieniła się trochę i wstając z krzesełka, rzekła:

— Ja jestem Wanda, córka Krakusa, co nie chciała Niemca; wolała iść za rodaka, niż za cudzoziemca.

— No i cóż więcej? — pytał Józio.

Marynia pociągnęła Wandzię za fartuszek, — powiedz, żeś się utopiła w Wiśle.

— Jakże ja powiem, — rzekła Wandzia, kiedy ja się nie utopiłam?

— Ale to nic nie szkodzi, — przecież to zabawa.

— A jak ja powiem, że się utopiłam w Wiśle, to mi już orzeszków nie dadzą?

Ledwo jej tam chłopcy wyperswadowali wreszcie, poczem wzięła Wandzia orzeszki i siadła na swojem miejscu.

Teraz kolej przyszła na jej braciszka, któremu też Staś było na imię.

— No i cóż teraz zrobisz, — zapytał go Józio, — kiedy już Żółkiewski zabrany!

Ale Staś wcale się tem nie stropił.

— Wielkie rzeczy! — odrzekł spokojnie — niby to już więcej Stanisławów dzielnych nie było.

— No, ciekawym! — zawołał Józio.

A Staś tak mówił:

— Ja nie jestem żaden rycerz, ale mnie wszyscy i tak znają! Jestem Stanisław Ja-

chowicz, co bajki pisał dla dzieci i był opiekunem sierotek.

Zawstydził się Józio i nic się już nie odezwał, bo mu to wcale na myśl nie przyszło, że oprócz rycerzy są jeszcze inni ludzie godni pamięci; a że kolej była na Jadwinkę, więc się podniosła i rzekła:

— Ja jestem Jadwiga, wnuczka Kazimierza Wielkiego, co zaślubiła Jagiełłę dla dobra swego ludu.

— Masz orzeszki swoje, kochana królowo!

A teraz ty Adasiu!

Adaś zamyślił się bardzo, a potem zarumienił się, powstał i rzekł:

— Ja sobie Adama Mickiewicza obieram, co napisał wiele pięknych wierszy, i ja umiem nawet na pamięć ten jego wiersz, który się tak zaczyna:

Pójdźcie, o dziatki! pójdźcie, wszystkie razem,
Za miasto, pod słup, na wzgórek.

— Wiemy, wiemy! — zawołały dzieci.

— Masz dzielnego imiennika! — dodał Józio — może już nie chcesz orzeszków?

— Ale! — rzekł Adaś, i wyciągnął rękę po swoję czwórkę.

— No kto teraz? — pytały dzieci.

— Teraz Janek! teraz Janek!

Janek odchrząknął, podniósł się i tak mówił:

— Ja sobie obieram Jana III Sobieskiego, co zbił Turków pod Wiedniem!

— A to zuch! — zawołał Józio — toś sobie dobrze obrał! Naści twoje orzeszki. A teraz Basia!

— Ja jestem Barbara Radziwiłłówna, żona Zygmunta Augusta, co ją otruła zła Bona!

— Oj! toś ty biedna, kiedy cię otruła Bona — ubolewał żartobliwie Józio. — Na, masz orzeszki, pociesz się!

Basia się rozśmiała.

— No, a ty Bolek czem jesteś?

— Ja jestem Bolesław Chrobry! Żebyście to sobie pamiętali, że Chrobry a nie Śmiały, bo ja tego Śmiałego nie lubię, kiedy on taki, że Stanisława Szczepanowskiego, biskupa, zabił. A Chrobry to wcale co in-

nego, i ja go sobie obieram, bo był dzielny król i wódz.

— To dobrze! — rzekł Józio. — Siadaj mój Chrobry! Masz tu zdobycz wojenną, — dodał, przysuwając mu cztery orzeszki. — A Hela czem jest?

Ale Hela spała, trzymając lalkę na kolanach.

— Dajcie jej pokój — zawołał Jaś — ona jest od dworaków opuszczona Helena, w stroju niedbałym.

Dzieci zaczęły się śmiać.

— Dobrze! dobrze! — wołały — „I trzyma syna u łona, co go zowią Leszkiem Białym“.

Przysunęli przed małą Helę cztery orzeszki, ale jej nie budzili. Niech tam sobie śpi maleństwo.

— Teraz ty Piotruś, czem jesteś?

— Czem jestem? — odpowiedział Piotruś — otóżto właśnie, że się nie mogę zdecydować, czy jestem Piotr Dunin, co siedmdziesiąt kościołów wystawił, czy też Piotr Skarga?

— Już ja ci radzę, bądź lepiej Skar-

gą — przemówił Józio. — Widziałem ja Skargę na obrazie Matejki i powiadam wam, że to był dzielny bardzo człowiek.

— No, to dobrze! jestem Piotr Skarga, który był kaznodzieją i wielu słuchaczy do dobrego pobudził.

— Mieczek śpisz? kolej na ciebie! — zawołał Józio.

A Mieczek na to:

— Wcale nie śpię. Ja sobie obieram Napoleona, cesarza.

— A co znów! Ale nie można! — zawołały dzieci.

— Dlaczego nie można?—pytał Mieczek.

— Bo tobie na imię jest Mieczysław, i musisz sobie Mieczysława obrać — odpowiedział Józio.

— Ja nie chcę! — rzekł Mieczek. — Ja wolę być Napoleonem! Ja tam nic o Mieczysławie nie wiem!

— Tak! — zawołał Józio. — No, to ja za ciebie powiem, ale orzeszków nie dostaniesz.

Wstał z krzesła, wyciągnął rękę i tak mówił:

— Słuchajcie chłopcy i wy panny! To

jest Mieczysław Gnuśny, któremu się nie chciało widać nic czytać, kiedy nie wie o Mieczysławie I, który ożenił się z księżniczką czeską, Dąbrówką i chrześciaństwo do Polski wprowadził. On chce zostać Napoleonem, obcych zna a swoich nie zna! Wstyd! Wstyd! Gnuśny! Gnuśny!

— Wstyd, wstyd! — zawołały dzieci, a Mieszek spuścił oczy pod stół.

Józio tymczasem wziął cztery orzechy i tak mówił:

— Te orzeszki za Mieszka biorę dla małego Antosia od stróża. Zgoda?

— Zgoda, zgoda! Masz i moje — rzekł Janek.

— A teraz kolej na ciebie, Marcyś.

Marcyś powstał, ściągnął brwi, jakby z bólu i rzekł:

— Ja jestem Marcin Kącki, który odebrał Turkom Kamieniec Podolski i kiedy basza, dowódca turecki, wszedłszy do lochu, gdzie był skład prochu, chciał się zemścić i rzucił płonący lont na beczkę prochu, by tym sposobem wysadzić w powietrze całe miasto i pogrzebać w gruzach siebie, Ką-

ckiego i tysiące ludzi, wtedy Kącki chwycił czemprędzej ten żarzący się lont, położył go sobie na dłoni i dopóty trzymał, dopóki ten całkiem nie zgorzał, a chociaż sobie rękę okrutnie poparzył, to nawet brwi z bólu nie zmarszczył! Ale fortecę i tysiące ludzi ocalił!

— Wiwat! Marcyś — zawołał Józio — dzielny z ciebie chłopiec.

— Maryniu! a ty co? — zapytał potem starszej dziewczynki, która dotąd milczała.

— Ja jestem Marya Malczewskiego — rzekła podnosząc główkę.

— Ale co znowu! Przecież to tak się nazywa książka, ale nie osoba — zawołał Józio. — To do niczego! to na nic!

— Jak sobie chcecie! A ja powiadam, że jestem, to jestem.

— No cóż, chłopcy? Dać orzechów czy nie dać? — pytał Józio.

— Ja tam orzeszków nie potrzebuję — rzekła Marynia z dumą. — Jestem Maryą Malczewskiego i basta!

— No to już sobie bądź! A jaka jesteś,

z obrazkami czy też bez obrazków? — żartował Józio.

Zaczerwieniła się Marynia i nic nie odpowiedziała, tylko odwróciła główkę do okna; była obrażona.

— No to i koniec! — zawołał Józio. — Zaczęło się od ludzi, a skończyło na książce.

Wtem wszedł stary Mikołaj i rzekł:

— Niech panicze i panienki idą na herbatę; pani prosi.

— Mikołaju! Mikołaju! — krzyknął Józio. — A Mikołaj czem jest?

Stary Mikołaj nie dosłyszał.

— Co panicz mówi takiego? — zapytał Mikołaj.

— A to mówię: czem Mikołaj jest?

— O nibyto panicz nie wie, czem jestem! Stary Mikołaj jestem i już!

— On jest Mikołaj Kopernik! On największy z nas wszystkich, najsławniejszy człowiek! — zawołał Adaś. — On odkrył i dowiódł, że nie słońce około ziemi, ale ziemia około słońca się obraca.

— Jakto? Jakto? — zapytały dzieci.

— Ja wam tego tak dobrze wytłóma-

czyć nie potrafię — rzekł Adaś — ale pójdziemy do taty, to on nam to powie.

I poszli.

Jeśli i wy jesteście ciekawe, kochane dzieci, jak to było, to idźcie także do swego taty, a on wam to wytłómaczy.

„KIEDY RANNE“

(Jeszcze kartka z kajetu Pawełka).

„KIEDY RANNE“.

(Jeszcze kartka z kajetu Pawełka).

Już z rok chyba umiem na pamięć tę pieśń:

„Kiedy ranne wstają zorze“

a dziś dopiero dowiedziałem się kto ją ułożył. Oto ułożył ją Franciszek Karpiński przed stu laty przeszło, bo już blisko sto pięćdziesiąt lat temu jak się urodził. I jeszcze jak to było, to zupełnie jak w bajce!

Rodzice tego Franciszka Karpińskiego mieszkali w takiej małej wioseczce, a dokoła niej były to lasy, to bory, a dzikość taka, że strach, i zaraz znowu niedaleko były góry wielkie, wysokie, a w tych górach i w tych lasach byli zbóje. Ja zawsze myślałem, że nam Joasia tylko tak, dla zabawy, o zbójach powiada, a to naprawdę.

Otóż najstarszym dowódcą między tymi zbójami był Dobosz. Ludzie go się okrutnie bali i myśleli nawet, że on takie czary zna, że go kulka trafić nie może. No, co to, to znów nieprawda! Bo czarów nie ma na świecie, a Dobosza kulka pewnoby trafiła, żeby się taki zuch znalazł, coby go wziął dobrze na cel. Otóż ten Dobosz po górach, po lasach ze swymi opryszkami chodził, podróżnych napastował, obdzierał i ledwo ich z życiem puszczał. A i do wiosek okolicznych zachodził czasem. Więc był tak wielki strach na dziesięć mil i więcej dokoła, że kiedy nocą pies zaszczekał, to już się ludzie budzili i mówili szczękając zębami: Oho! Dobosz idzie!

A co? to nie żarty z takim opryszkiem!

Aż raz dali chłopi znać do Hołoskowa, że się Dobosz w bliskich lasach kręci ze swymi pachołkami i że tylko patrzeć, jak na dwór napadnie.

Przeląkł się bardzo stary Karpiński, pokręcił wąsy, spuścił głowę i myśli, myśli, coby tu zrobić, żeby mu ten Dobosz krzywdy nie zrobił. A miał w domu małego syneczka, tego właśnie Franciszka, co się do-

piero na świat narodził i chorą żonę. Stary szlachcic kręci wąsy i tak sobie myśli: wezmę ja co w domu droższego, srebra trochę, kosztowniejsze ubrania, lepsze konie i wyprowadzę to i skryję gdzie w gęstwie leśnej, że Dobosz do tego nie trafi. A jak przyjdzie, jak zobaczy takie małe dzieciąteczko, to się może i ulituje nad niem i pójdzie sobie w lasy i góry.

Ano dobrze. Jak pomyślał, tak i zrobił. Ledwo pozbierał to i owo i do lasu wyniósł, kiedy robi się hałas na wsi okrutny, przyjeżdża Dobosz ze swymi zbójami i prosto wali do dworu. We dworze cicho, pani chora śpi, dzieciątko także śpi, tylko stara klucznica wychodzi naprzeciw Dobosza, a jakto zawsze lepiej dobrocią niźli złością, tak i ona wita Dobosza jak gościa, chlebem i solą przyjmuje, do komnaty prowadzi. Obejrzał się Dobosz po komnacie, widzi stół zastawiony, pieczenie baranie na misach dymią, piwa beczka stoi, chleby śliczne białe w bochnach leżą, zupełnie jak nie dla zbójów, tylko dla przyjaciół w gościnie! Podobała się ta grzeczność Doboszowi, pokręcił czarnego wąsa i pyta:

— A gdzież pan i gospodarz?

— Niema pana w domu — odpowiada gospodyni struchlała, — ale chciejcie miłosiernie siąść i posilić się darem Bożym.

— No, a gdzież pani? — mówi znów Dobosz.

— Pani chora, w komnacie swojej leży — odpowiada gospodyni.

— No, tobym chciał ją pozdrowić, — mówi Dobosz.

Na gospodyni skóra drży ze strachu, ale nic; prowadzi Dobosza przez pokoje do pani Karpińskiej. Chciała się cała banda za Doboszem walić, ale on tylko spojrzał raz na swoich zbójów, a wszyscy zostali za drzwiami, tak go słuchali. Wchodzi tedy Dobosz, sam na palcach stąpa, bo go to ambicya wzięła, żeby się też dwornie i grzecznie znaleść, i kłania się od progu i o zdrowie pyta. A po pani Karpińskiej aż mrowie przeszło, gdy na tego opryszka spojrzała, co był na całą okolicę z różnych sprawek znany i głośny. Ale nic po sobie strachu tego nie pokazuje, tylko grzecznie go także jak gościa pozdrawia, a mówi zcicha, ręką

białą ukazując na kolebkę, gdzie mały chłopczyna w poduszeczce leżał. Zbliżył się Dobosz do dziecka, schylił nad kołyską twarz czarną wąsatą, a dzieciątko nic go się nie zlękło, tylko otwarło oczka i patrzyło na niego. Do głębi serca poruszyło Dobosza to spojrzenie dzieciątka niewinnego; wspomniał sobie matkę swoję i rodzinę, pożałował latek dziecięcych swoich i dwie łzy spadły mu na wąsy czarne.

Wziął potem chłopczyka z kołyski na ręce, pohuśtał, a oddając matce prosił, aby dziecko nazwała Stefanem na pamiątkę jego, gdyż sam Dobosz miał na imię Stefan. Nie sprzeciwiała się tej prośbie pani Karpińska, bo i niebardzo było bezpiecznie, a Dobosz raz jeszcze dobrego zdrowia życząc, jak przyszedł na palcach, tak na palcach wyszedł.

Dopiero w jadalnej komnacie rozgościł się nieco, towarzyszom swoim pozwolił się posilić, a sam pilnował, żeby co nie zginęło we dworze i żeby był spokój dla chorej pani.

Kiedy sobie podjedli i piwa się napili, dał Dobosz gospodyni dukata za posługę i wyniósł się zaraz na lasy, na bory, bo zawsze

tam w nich przesiadywał i kryjówki swoje miał.

Dopieroż służba dała znać panu Karpińskiemu, że już opryszki daleko; dopieroż pan Karpiński wrócił ze swoim dobytkiem do domu. Ale choć się bardzo cieszył z uratowanego mienia, bardziej jeszcze cieszył się ze szczęśliwego ocalenia i żony i syneczka swojego. Oj i miał z czego! Bo to później wyrósł z tego poeta głośny, o którym pamięć i dziś trwa i już zostanie na zawsze.

Tymczasem trzeba było synka ochrzcić. Pani Karpińska powiada mężowi o tem, co przyrzekła zbójcy, ale on nie chce, żeby jego dziecko miało mieć imię takie jak Dobosz i na jego własną pamiątkę. Wybrali tedy rodzice imię dla chłopca Franuś i powieźli go do kościoła, do chrztu. A mróz był tego dnia duży i śniegu na drogach nawiało okrutnie dużo. Jak wyjechali za wieś, to gościńca nie było widać, tylko tuman śnieżny do okolutka, taka zawieja. Dojechali przecież szczęśliwie do kościoła, ochrzcili dziecko, wracają, — aż tu naraz zachwiały się sanie i dzieciątko, zawinięte w poduszkę i chusty, wypadło

Nikt tego jakoś zrazu nie spostrzegł, tak wszyscy byli zakutani w futra, w płaszcze, w opończe, że i nosów widać nie było. Przyjeżdżają do domu, patrzą — dziecka niema! Dopieroż lament, dopieroż krzyk, dopieroż gwałt, szukanie. Skoczyła czeladź z pochodniami zguby po śniegu szukać, bo to dzień krótki i zmierzchło już nieco, a na przedzie ojciec strapiony srodze, a wszyscy już myślą sobie w duchu, choć głośno tego nie mówią, że pewno już chłopczynę wilki zjadły.

Jadą, jadą, świecą sobie pochodniami, szukają za śladem sani, a w każdym aż dusza truchleje, co powiedzą za powrotem, gdy ich matka zapyta: „gdzie Franuś?“

Aż tu naraz przyjeżdżają pod górkę, patrzą, a po drugiej stronie leży dzieciątko otulone chustami i śpi sobie w śniegu tak słodko i cicho, jakby we własnej kolebeczce. Porwał je na ręce ojciec i zapłakał z radości, czeladź cała ucieszyła się niezmiernie i już wszyscy z tryumfem wracali do wsi, kiedy od boru zawyło wilczysko. Aż ciarki po ojcu przeszły na to wycie, konie pod czeladzią zaczęły strzydz uszami i parskać

ze strachu. Dopadli nareszcie do wsi. Tu dopiero uciecha, tu dopiero radość z odnalezienia tej drogiej zguby, którą już opłakali zawczasu.

Suty ogień na kominie palił się noc całą, i całą noc słychać było w opłotkach wycie zgłodniałego wilka.

Ej wilku, wilku! Cóżeś ty chciał najlepszego zrobić? Chciałeś pożreć dzieciątko, która potem wyrosło na poetę, na chlubę i radość swej ziemi! A ktoby to nam napisał tę śliczną pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze“, co jak ją z mamą śpiewamy, to mi się zdaje, że widzę i słyszę, jak słońce złote wstaje, jak się niebo i ziemia raduje, jak kwiatki w rosach stoją, jak zboża na polach szumią, jak skowronek śpiewa.

I któżby nam napisał tę drugą pieśń: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“, która znów taka jest słodka i miła, jakby się cała ziemia tuliła do snu, pod skrzydła Anioła-Stróża, jakby kwiateczki zamykały swe kielichy, jakby ptaszki po gniazdkach ucichły, jakby nawet rzeczka nasza uciszyła się koło młyna i cicho, cicho płynęła

do wtóru z szumem lasów. Obie te pieśni i wiele, wiele innych, napisał Franciszek Karpiński i dlategoto sobie o nim wszystko to spisałem.

JAK TO BYŁO W LESIE.

JAK TO BYŁO W LESIE.

Szedł właśnie stary Szymon, gajowy, do lasu, i wziął z sobą kowalowego Jędrusia, który mu był chrześniakiem.

A w lesie był szum wielki, właśnie jak gdyby każde drzewo coś sobie mówiło. Nadstawił Jędruś ucha z prawej strony, nadstawił z lewej, ale nic jakoś wyrozumieć nie mógł; pociągnął tedy starego Szymona za kapotę i rzekł:

— Chrzestny!

— A co tam chłopcze? — zapytał Szymon.

— A to mi się widzi — mówił dalej Jędruś — że te drzewa cości gadają, a nic jakoś wyrozumieć nie mogę.

— A no — odrzekł stary gajowy — boś jeszcze mały pędrak, to się na takich mowach poznać nie umiesz. Ale kto długo

żył a często ich słuchał, to tak wszystko wyrozumie, jakby ludzkie głosy.

— O la Boga! — zawołał Jędruś. — Jakże to? Powiadajcie chrzestny, bom okrutnie ciekawy!

— Czekajno, czekaj, nie bądź taki prędki! — rzekł stary Szymon i siadłszy na pniu, ognia do fajeczki skrzesał. Pyknął raz, pyknął drugi raz, a widząc, że się chłopcu aż oczy świecą z wielkiej chętki do onej opowieści, tak zaczął:

— Widzisz chłopcze ten dąb przed nami?

— A widzę! – rzekł. — Okrutne jakieś dębisko... Rosochacz taki, że strach, nakryłby i chałupę naszę i obórkę z Granulą, jeszczeby się i gołębnik z gołębiami pod niego zmieścił. O gdzie to tu do wierzchu!

Przechylił się mocniej jeszcze w tył, a wtem mu kapelusz spadł z głowy, a stary Szymon na to:

— Dobrześ zrobił, chłopcze, żeś się kapeluszem pokłonił przed tym dębem, bo to z całego lasu najgodniejsze drzewo; właśnie jakby gospodarz między czeladzią. On tu najgłośniej gada i najradziej słuchają go te

insze drzewa, het, precz, — aż do samego wyrębu.

Jędruś przypadł staremu do kolan:

— Oj powiadajcie, powiadajcie, chrzestny, co on też tak gada?

A tu jak na to, zakołysał się dąb ów za wichrem od samego wierzchołka swego, a konary jego zaszumiały, zahuczały jak organ w kościele. Stary Szymon pomilczał chwilkę, podniósł głowę siwą i tak prawił:

— Wszystko, chłopcze, ma swój głos na świecie, a każdy głos taki, to jak nuta w pieśni. A człowiek, co takiej pieśni nie rozumie, chodzi jak głuchy po świecie. A lasy, co na naszej ziemi wyrosły, śpiewają nasze pieśni, a te, co indziej wyrosły, obce pieśni śpiewają — każdy według swego miejsca. A ten, widzisz, dąb to powiada tak:

Dziatki moje, dziatki,
Syny i wnuczęta,
Kto z was dawne czasy
W lesie tym pamięta.

O! wy dawne czasy
Gdzieście się podziały,
Kiedy nad tym lasem
Sokoły latały.

Sokole, sokole,
Starodawny ptaku,
Już z twojego gniazda
Niema ani znaku!

Otworzył Jędruś buzię i słuchał, bo myślał, że jeszcze będzie dalej; ale stary Szymon zamilknął i tylko siwą głową kiwał i fajeczkę kurzył. Wtedy Jędruś rzekł:

— A ta sosna, chrzestny, co też ona mówi?

— Ta sosna — odpowiedział stary Szymon — ta sosna znów ma mowę taką:

Na wschodzie na niebie
Tam się palą zorze.
Zrąbali sosenkę,
Wysłali za morze.

A nad owem morzem
Siwy orzeł kracze.
Sosenka się smuci,
Lasu swego płacze.

— O moiście-wy! — zawołał Jędrek a już miał łezki w oczach — to i ja jej żałuję, kiedy ona tak żałośnie śpiewa. A brzoza? — rzekł po chwili — mówi też co?

— Oj! oj! — odrzekł stary — brzoza to gaduła! Raz wraz coś tam sobie przepowiada. Raz tak, drugi raz owak, zwyczajnie takie drzewo, co gdzieniebądź rośnie. A ta tu, co tam na lewo, na góreczce stoi i listkami drobnemi rusza, to tak mówi:

Leśną ścieżką, wąską drogą,
Szedł tu żołnierz z chromą nogą;

Szedł tu żołnierz, odpoczywał,
O swej chacie pieśni śpiewał.

A ja pieśni zrozumiała,
Listeczkami zaszumiała.
— Wracaj, wracaj, choć bez nogi,
W swojej chatki miłe progi!

— To ona się tak rozmówi jak człowiek? — pytał Jędruś.

— A cóż, ma ci wszelkie stworzenie swoję mowę własną.

— A wierzba, co też gada? — rzekł po chwili Jędruś?

— Wierzba — odpowiedział stary Szymon — to gada tak:

O mój gospodarzu
Sadźcież mnie nad rzeką,
Żeby się głos z fujareczki
Rozlegał daleko!

Pójdzie tędy chłopiec,
Wytnie fujareczkę,
Będzie śpiewał, wyśpiewywał
Mazurską piosneczkę.

Jędruś jeszcze szerzej usta otworzył.

— No i cóż? — zapytał Szymon — podoba ci się?

— Oj podoba mi się, podoba! Okrutnie mi się podoba. Jak teraz pójdę po lesie, to każdziusienkie drzewo zrozumiem, co ono śpiewa... A ta olszyna, chrzestny, mówi też co?

Ale Szymonowi zgasła fajeczka, więc ją wytrząsnął, schował do torby borsuczej, powstał z pieńka i rzekł:

— Ot wszystkobyś naraz chciał wiedzieć! To tak nie idzie, mój chłopcze! Zapamiętaj sobie najpierw to, com ci powiedział, a jak tu przyjdziemy drugi raz, to ci znów co powiem. Teraz trzeba iść patrzeć, czy lisy nie szkodują na Wyrębie.

I poszli.

FRANUŚ NAD WISŁĄ.

FRANUŚ NAD WISŁĄ.

Franuś był spory chłopiec, siedm lat już miał, a jeszcze Wisły nie widział. Ale raz tak mówił ojciec do niego.:

— Franuś! a chciałbyś ty widzieć Wisłę?

A mój Franuś jak nie skoczy ojcu na szyję, jak nie zacznie całować i ściskać — „a mój tatusiu! a mój złoty! a mój jedyny!“ — więc pojechali.

Jadą, jadą, jadą, jadą, już się Franusiowi i jeść zachciało. Kupił mu ojciec obwarzanków na Pradze. Zajadł się Franuś na swych obwarzankach i nie widział, że dojechali do długiego mostu. Naraz spojrzy przed siebie, aż tu w lewo i w prawo wielka, wielka woda. A było to w kwietniu, kiedy rzeki przybierają z wiosennych roztopów. Porwał się Franuś z bryczki i pyta:

— A co to za woda taka?

Na to ojciec:

— A to Wisła, największa nasza rzeka. Przypatrz się jej dobrze, chłopcze, żebyś ją zapamiętał.

Patrzy Franuś, wytrzeszczył oczy — piękna rzeka. Szeroko płynie od brzegu do brzegu, tylko się przelewa. Modre niebo przegląda się w jej białawej wodzie, słońce ją złoci jakby w drobną łuskę, gdzieniegdzie szmatek piany zakręci się i spłynie w wielkim pędzie.

— A gdzie ta Wisła tak idzie? — pyta Franuś ojca.

A ojciec mu na to:

— Do morza idzie, mój chłopcze, do Bałtyku; daleko ztąd, daleko!

— A zkąd ona tak idzie?

— Z gór wielkich idzie, co się nazywają Karpaty, z tej ich części, która się nazywa Beskidem zachodnim. Tam się ona urodziła w źródełku leśnem, tam odchowała i ztamtąd idzie. Póki tam jest niedużą, to ją Wisełką zowią; a tu, gdy już urosła, nazywa się Wisłą.

— Jakże to ona urosła? — zapytał ciekawie Franuś.

— A tak urosła — odpowiedział ojciec — że się do niej zbiegają po drodze różne rzeki i rzeczki, to z prawej to z lewej strony i wlewają do niej wody swoje, więc tej Wisły coraz to przybywa, aż się z niej robi taka duża!

— A po cóż te rzeki i rzeczki tak się do niej zbiegają?

— Widzisz, mój chłopcze — odpowiedział ojciec — jak chłop ma liche szkapy a chce do miasteczka jechać, to się przysiada do takiego gospodarza, co ma tęgie konie i z nim do miasteczka jedzie. Tak też i te rzeki, one też chcą iść do morza, ale nie mają mocy do takiej podróży; więc się zabierają po drodze z tą największą i najmocniejszą rzeką: coraz to z prawej, to z lewej strony która się nawinie i dalej razem jazda.

— A to mądre rzeczki! — zauważył Franuś.

— Pewno, że nie głupie! — rzekł ojciec.

— To jabym chciał wiedzieć, jak się one nazywają. Może mi tatuś powie?

— Wszystkich ci nie powiem, bobyś nie spamiętał, ale tylko co większe. Widzisz, ta, co się najpierw pośpieszyła i od prawej strony z Wisłą się do morza zabrała, nazywa się Dunajec. To bardzo bystra rzeka. Druga, z tej samej strony, nazywa się San; trzecia, także z prawej strony, zowie się Wieprz...

— Wieprz! — zawołał Franuś. — A to dopiero!

— Czwarta rzeka — mówił dalej ojciec nazywa się Bug; ten Bug razem z Narwią, swoją przyjaciółką, zabiera się także z Wisłą do morza.

— I to wszystko z prawej strony? — zapytał Franuś.

— A wszystko — odrzekł ojciec.

— Ej bo się Wisła przechyli! — rozśmiał się Franuś — i te rzeki się z niej wyleją.

— Nie bój się! — rzekł ojciec — nie przechyli, bo i z lewej strony jest tego dosyć. Jest widzisz: Nida, jest Pilica, jest Bzura i jeszcze dużo różnych mniejszych rzeczek.

Wszystkie się one do Wisły śpieszą, żeby je tylko zabrała ze sobą do morza.

— A cóż Wisła na to? Czy jej nie ciężko?

— Ej nie! Zawszeć to milsza droga w kompanii. Wisła te wszystkie rzeczki przygarnia do siebie, jak matka i tak płyną do samego morza.

— I nie nudzi się Wiśle po drodze? — pytał jeszcze Franuś.

— Cóż znowu! Widzi ona przecież góry, lasy, wsie i ogromny kawał kraju. Widzi także mniejsze i większe miasta. Najpierw Kraków, potem Sandomierz, potem Kaźmierz, Warszawę, Włocławek, Wyszogród, Płock, Toruń i nareszcie Gdańsk, już nad morzem, gdzie jej się trzeba rozstać z tą ziemią, przez którą tak długo płynęła.

— To jej smutno musi być...

— Czasem smutno, a czasem wesoło. Jak idzie przez takie miejsca, gdzie dzieci wcale jej nie znają i nic o niej nie wiedzą, ani zkąd się wzięła, ani dokąd płynie, to jej zapewne wcale nie wesoło! A coż? To jakby między obcymi wędrować sierocie.

Dopieroż kiedy natrafi na takie miejsca, gdzie dziatki, jak tylko ją zdaleka zobaczą, to zaraz wykrzykną: „A witajże Wisełko! A co tam w Karpatach słychać? A dawno od Krakowa? A pozdrów tam od nas Bałtyk, sine morze!“ no to i jej raźno i wesoło a szumi i huczy, właśnie jakby mówiła: zdrowe mi bądźcie dzieci! zdaleka ja płynę i daleko idę, ale zawsze ja wasza i wy moje!

A kiedy ojciec to mówił, wysunęły się tratwy jedna za drugą, a na tratwach rozległa się piosenka:

Hej flisacza dziatwo!
A dalejże, dalej,
Płyń do Gdańska z tratwą,
Po szumiącej fali.
Płyńże młoda wiaro,
Z bukiem, z dębem, z sosną,
I z Wisełką szarą
Gwarz pieśnią radosną.

Zasłuchał się Franuś, a śpiew brzmiał daleko, daleko!...

JAK TO ZE LNEM BYŁO.

BAJKA.

JAK TO ZE LNEM BYŁO.

BAJKA.

Kiedy Julisia czystą koszulkę bierze, zawsze starą Pawłowę pod brodę głaszcze i mówi:

— Moja Pawłowa! Moja złociutka! powiedzcie-no mi, jak to z tym lnem było?

Julisia wie dobrze, jak to było, ale niezmiernie lubi słuchać, jak jej Pawłowa ową historyę o lnie opowiada i dlatego tak się starej niani swojej przymila.

Stara niania radaby z panienką przegwarzyć dzień cały, uśmiecha się jednak i mówi:

— Ej, panienko-serce! A czyto raz już powiadałam o tem?

Ale Julisia znów w prośby:

— Moja nianiusiu! moja złota! moja kochana! tylko ten raz jeszcze.

Stara Pawłowa podpiera spracowaną ręką twarz wyschłą, zwiędłą, kiwa przez chwilę głową w czerwonej kwiecistej chuście i tak mówi:

Był raz król taki, co miał wielkie królestwo, wszelkiego dobra i bogactwa pełne, tylko że w niem złota nie było.

Sale tam były wielkie, sady śliczne, od grusz, od jabłoni czerwieniące zdala, po lasach zwierzyny huk, w ziemi żelaza dość, na powietrzu ptactwo takie, że co jedno odleci, to drugie przyleci, bydła, koni, owiec stada okrutne, nieprzerachowane, po rzekach ryby jakie tylko, i małe i duże, kwiecia też po łąkach mnóstwo dla królewiątek małych, co jedno przekwitnie, to drugie zakwita. Ot, wszelkiej rozkoszy moc wielka! Miasta też były w tem królestwie znaczne i wojska duże po zamkach, po wieżach mocnych i ludu po wsiach dość. Ale król niczem się nie cieszył, tylko ciągle markotny był, że złota niema w jego państwie.

— Cóż mi po tem zbożu, mówił, albo i po tych lasach i po tych rybach w rzece i po tych stadach wielkich, kiedy ja to wszyst-

ko muszę het precz wywozić do moich sąsiadów za złoto, bo go u mnie niema.

— Żeby tu u mnie złoto było, cały lud mój by się ubogacił.

Lud jego biedny po wsiach skórami się odziewał i koszuli na grzbiecie nie miał, a dopieroż sami bogacze z miasta musieli w dalekie kraje posyłać po materye drogie, po jedwabie na ubiory swoje.

— Bylem tylko złoto miał — mówił — to mi już niczego nie braknie i memu ludowi.

Tak wyszedł raz sobie na drogę i chodzi w zamyśleniu wielkiem, a drogą kupcy jadą.

— A zkąd oni jechali?

— Jużci z dalekich krajów jechali. Jak też zobaczyli króla, tak zaraz mu pokłon oddali, towary rozwiązują i pytają, czy czego nie trzeba?

Król pokłon przyjął grzecznie, towary obejrzał, głową pokręcił i mówi:

— Na nic mi te wasze towary, bo mi tylko jednej rzeczy potrzeba.

Więc zaraz się dopytywać zaczęli, czego?

— Potrzeba mi złota, — mówi król — żeby u mnie w ziemi było, żebym je dobywać mógł i cały mój lud zbogacił i siebie.

Zafrasowali się kupcy, bo tej woli królewskiej nie mogli uczynić i zamilkli. A był między nimi staruszek jeden, jako ten gołąb siwiutki, z brodą po pas, w bieli cały odziany i bardzo mądry. Ten widząc frasunek swoich towarzyszów i króla pragnącego złota dla ubogiego narodu, co koszuli na grzbiecie nie ma, pomyślał, wystąpił naprzód i rzekł:

— Królu panie! Mam-ci ja takie siemię w mieszku, co jak je wiosną posieją w polu, to złoto ci z niego się urodzi.

I zdjął ze swego wielbłąda troki i wyjął z nich spory mieszek i przed królem postawiwszy, rozwiązał.

Król bardzo się zadziwił, że takie ziarno na świecie jest, co z niego złoto wyrasta. Onemu kupcowi sygnet piękny dał i choć ten mieszek był ciężki, sam go do zamku swego poniósł.

Nazajutrz dał wiedzieć w całem państwie, jako w ten a w ten dzień król sam będzie w polu takie ziarno siał, co z niego wyrośnie złoto.

Zadziwował się naród cały na taką nowinę, zbiegli się wszyscy na ono pole pa-

trzeć, jak też to cudowne ziarno wygląda. Matki prowadziły dzieci, synowie ojców starych i zeszła się tego wielka, wielka moc.

— Musiało to być bardzo ładnie?

— A pewno, że ładnie. Aż król wyjechał na siwym koniu, w bisior drogi ubranym, z muzyką, z trębaczami i z dworem całym, a za nim sam skarbnik królewski mieszek z ziarnem niósł pod baldachimem z karmazynu, co go czterech pachołków królewskich trzymało. Kiedy wszyscy na skraju pola stanęli, król koronę z głowy zdjął, że to niby prosty siewacz na swej roli staje, i wziąwszy od skarbnika mieszek, wzdłuż bruzdy pięknie wyciągniętej poszedł, czerpiąc z mieszka ręką ono ziarno cudowne i rzucając je w świeżo zaoraną, czarną, pulchną ziemię. A tu zaraz za królem brony szły, co je najpierwsi panowie w onem królestwie prowadzili i ten posiew bronowali, jak zwykle żyto albo i pszenicę, albo insze jakie ziarno. Kiedy już pole zasiane było i zabronowane, król koronę znów na głowę włożył i wrócił z wielką paradą na zamek swój z dworzanami swymi i z muzyką i z trą-

bami i z wielką uciechą, że takie pole złota zasianego ma. Minął dzionek, minął drugi, król ciągle z okna w ono pole pogląda, czy złoto nie rośnie, ale nic. Aż pięknego dnia uderzył deszcz ciepły z nieba i słonko po nim przygrzało. Patrzy król, a tu na calusieńkiem polu coście jakby ze ziemi na wierzch się parło. Uradował się bardzo.

— Oho! — mówi — nie zazna teraz mój naród biedy, jak mi się to złoto urodzi. Pole nie takie zasieję na przyszłą wiosnę, ale dziesięć razy większe.

I chodzi sobie wesół po komnatach, pieśni sobie śpiewać każe, sztuki różne pokazować — taki rad.

— Nie będę — mówi — patrzeć choć z tydzień w pole, aż zażółknieje złoto, żeby oczy moje uciechę miały.

Przeszedł tydzień. Patrzy król, a tu zamiast żółtego złota na calusieńkiem polu śliczna zieloność, jakoby murawa, tak źdźbło przy źdźble wzeszło i do słońca w górę idzie. Zadziwił się bardzo w sobie i mówi:

— Myślałem, że od razu żółte złoto rość będzie, a tu zieleń taka.

Ale nic... więc czeka.

Czekał tydzień, czekał dwa, powyrastały łodyżki równiutkie jedna przy drugiej, jak to wojsko wielkie. Już się i pączki pozwijały, już i ku kwitnieniu się ma. A co kto przejdzie, to się dziwuje, że to złoto tak rośnie, jakby jakie zwyczajne ziele. Dworzacy kręcą głowami, cości szepcą, cości między sobą radzą. Król patrzy, twarz pogodną zrobił i mówi:

— Nic to! Pewno się w kwitnieniu ono złoto okaże złotym kwiatem.

Jednego ranka pojrzy, aż tu pole jak długie i szerokie niebieszczy się tak, jak to niebo nad ziemią. Kwiatuszek koło kwiatuszka na łodyżce sterczy, aż się w oczach modro od tego robi, jakby w wodę patrzał.

— A cóż król na to? — zapytała Julisia.

— Zadziwił się król, wąsa szarpnął, iż tak złoto ono modro kwitnie, cały dzień frasobliwie po komnatach chodził, wieczerzy jeść nie mógł i markotny spać się układł. Aż rankiem uderzył się w czoło i mówi:

— O, ja głupi! Wszakże to nie kwiat, ale nasienie będzie samo złoto! Czegożem się wczoraj frasował?

I począł dobrej myśli być i ucztę panom swoim sprawił i radowali się wszyscy, że król tak mądrze im to wyłożył o nasieniu owem, co złotem być miało, — i tak wszyscy cieszyli się społem.

— No, i cóż się potem stało?

— A i cóż! Przeszło lato, z kwiatuszków owych modrych porosły główeczki, takie okrągluśkie. Król idzie w pole, bierze w palce, ogląda i myśli.

— Już też w tych główeczkach napewno złoto jest; tylko patrzeć, jak się to posypie.

Rozgniótł jednę, patrzy, aż tu takie samo siemię, jak to, które siał. Rozgniewał się król bardzo, dwór cały zwołał, kazał to zielsko z wielkiej złości z całego pola wyrwać, kijami zbić, że to mu takiego wstydu i zawodu narobiło i do wody cisnąć. Pachołkowie rozkazanie królewskie wypełnili, łodyżki co do jednej wyrwali, kijami zbili, aż się ono nieszczęsne ziarno posypało, w pęki powiązali

i do wody wrzucili. Ale że to już ich samych złość wzięła, więc jeszcze w wodę kamieniami ciskali i tyle tego narzucali, że się one łodygi w pękach zastanowiły, z wodą nie poszły i u brzegu przywalone kamieniami zostały.

— Pawłowa! Pawłowa! — zawołała z drugiego pokoju mama. — A co tam tak marudzicie?

— Zaraz, zaraz, proszę pani! — odrzekła Pawłowa, — i już się zbierała odejść, kiedy Julisia podskoczyła do progu.

— Moja mamusiu! Moja złociutka, tylko mi Pawłowa skończy o lnie...

— E... — odrzekła mama — czy to raz już słyszałaś?

— Moja mamusiu, — prosiła dziewczynka — to takie ładne!

— No kończcież tam te bajki prędzej, bo mi tu Pawłowa potrzebna.

— Duchem, duchem skończę, proszę pani! — zawołała Pawłowa, którą Julisia z wielkiej uciechy za szyję chwyciła, i tak rzecz swą prowadziła dalej:

— Król tymczasem po całym świecie szu

kać słał onego kupca, żeby go stracić za ten postępek, że to takiego monarchę poważył się oszukać.

Tak szukają tego kupca, tak szukają — nic!

Król też znów smutny począł bywać, jako i na początku i nieraz sam bez dworu w zamysłach różnych chodził, trapiąc się, że ludu swego nie mógł zbogacić. Idzie on raz brzegiem rzeki, patrzy, kamieni wielka moc, a z pod nich cości sterczy! Zawołał pachołka, w wodę mu kazał iść i czeka. Niedługo pachołek wraca i powiada:

— Królu — panie! — Toć to jest ono zielsko, co miało złoto rodzić i z pola wyrwane zostało.

A król:

— Jeszcze mi na oczach będzie to podłe zielsko leżeć? I mój wstyd przypominać? Weź mi je zaraz wynieś precz, żebym go więcej nie spotkał.

Ano poszedł pachołek po drugiego, one kamienie odrzucili, pęki łodyg przegniłych z wody wydobyli, wynieśli je het, pod las, cisnęli i poszli.

— No, a z tym kupcem co się stało?

— A cóż! szukali go tymczasem precz po całym świecie wedle królewskiego przykazu.

— A król?

— Król ciągle się frasował, to tu, to tam jeździł po kraju, a co spojrzy na ten biedny naród, co koszuli na grzbiecie nie ma, to się omal łzami nie zaleje; takie litościwe serce miał.

A no, widzą panowie, że król taki smutny, to rada w radę, uradzili żeby wyprawić wielkie polowanie.

Zjechali się różni książęta, różni panowie, różni dostojni goście, nasprowadzali psów, koni, masztalerzów, psiarków, łuczników, naprzywozili łuków i różnej broni takiej, że to ha! różnych rarogów, dojeżdżaczy, sokolników: polowanie takie, że to na całe królestwo sławne. Ucieszył się król tym widokiem, rozweselił, o strapieniu swojem coś nie coś zapomniał, bronie różne czyścić kazał, sfory ogarów sforować, charty na smycze brać, konie kulbaczyć, wozy pod zwierzynę zaprzęgać, aż uderzyli trębacze

w rogi łosiowe, psiarnie zaczęły ujadać, bicze ino świstały w powietrzu; tu się sokoły na całe gardło drą, tu pisk, krzyk, wrzawa taka, że to jak na największym jarmarku. Aż usiadł sam król na konia, po bokach mu książęta i wielcy panowie; pojechali.

Jadą, jadą, przyjechali pod las, dziwują się goście, że taka knieja gęsta, pewno i zwierza pełna, to się ino psy rwą, ino konie parskają, kiedy wtem spojrzy król w bok jakoś, a tu na polanie leżą one pęki łodyg, przez pachołków z wody dobyte, wyschłe, wymizerowane, zczerniałe.

Król zapalił się gniewem na twarzy, humor mu się odrazu przemienił, zawraca konia, przeprasza gości i napowrót na zamek jedzie.

— Jakto? — nie pojechali na polowanie?

— A nie! Król tak się rozgniewał, że ledwo tchnął, łowczemu wracać przykazał z końmi, wozami i psiarnią, a na pachołki swoje krzyknął:

— Hej tam! — zabrać mi to przeklęte zielsko i omłócić kijami, żeby aż z niego paździerze poszły.

I z wielką pasyą do domu wracał, a z nim goście jego. A pachołki tymczasem one pęki łodyg porwawszy, zaczęli je kijami okładać tak, że aż z nich paździerze leciały. Nalecial tych paździerzy okrutny pokład, a łodygi aż pobielały, jak z nich ta pierwsza surowizna zeszła.

— A gdzież je te pachołki rzucili?

— Na rozstaje, panienko serce, rzucili, na krzyżową drogę, żeby je słońce paliło, a wiatr po świecie roznosił. Leżały one łodygi, leżały, słońce je paliło, wiatr je poplątał, ale ich roznieść nie mógł, bo za wielka moc tego była.

— A z kupcem owym co się też stało?

— A szukali go, panienko, precz szukali, tylko że go znaleść nie mogli.

— A cóż król?

— A no, król zapomniał jakoś o swojem strapieniu i wybrał się ze swoim dworem w drogę. Na siwym koniu jechał, a za nim rycerze i dwór i pachołki i różna czeladź, zwyczajnie jak to się należy do królewskiej wspaniałości i osoby.

Jadą, jadą, przyjechali na rozstajne

drogi, aż tu koń, co pod królem szedł, dęba stanął. Ściągnął go król raz i drugi, koń szczupakiem chlusnął przez drogę w bok i zaplątawszy nogi niewiedzący jak, na ziemię runął.

Uskoczył król, strzemię z nogi zrzuciwszy, ale się okrutnie przeląkł. Zaraz tuż nadbiegli rycerze i słudzy, patrzą, w co się królewski koń wplątał, a to w te łodygi, co je pachołki na rozstaj rzuciły. Król, jak był blady ze strachu, tak się zrobił czerwony od gniewu, czeladź swoję skrzyknął, i kazał precz do trzeciej skóry zielsko owo kijami zbić, a potem je w ogniu spalić.

Czeladź zaraz się do kijów porwała, one łodygi do trzeciej skóry obiła, tak, że samo włókno cienkie i jak srebro takie bielusieńkie zostało i dalej nosić na kupę żeby spalić.

Patrzał na to wszystko król razem z dworem swoim, aż kiedy czeladź głownie zapalone pod one włókna podkładać miała, przyleciał pachołek i krzyknął:

— Królu — panie! Znaleźliśmy tego kupca, któregoś szukać rozkazał.

A tuż zaraz prowadziły straże onego starca, związanego, przed królewskie oblicze.

Król zmarszczył czoło i tak srogo wejrzał na pojmanego, że cały dwór struchlał i prawie tchnąć nie śmiał. Ale stary ten człowiek wcale się nie przestraszył i sam do króla spokojnie przystąpiwszy, rzekł:

— Kazałeś mnie, królu, szukać, jak złoczyńcę, po całem królestwie swojem, a otom jest. Sam szedłem do ciebie, dowiedziawszy się, że mnie potrzebujesz, bom wpierw w dalekich drogach bywał, a tu mnie u bram twego miasta straż pojmała. Rozkaż, aby odstąpili, a iżbym z tobą sam mówił.

Tak mówił ten starzec, ale król bardzo był zagniewany i srogo krzyknął:

— Do ciemnicy cię wtrącę, boś mnie, króla i pana, oszukał, a siemię owo, z którego miało mi się urodzić złoto, wydało tylko zielsko nikczemne, ku spaleniu zdatne! Patrz! oto cała kupa tego twego złota — dodał, biorąc się w boki z wielką pasyą.

Starzec popatrzał i rzekł:

— Królu panie! kiedy taka wola twoja, abym do ciemnicy szedł, niech mnie do cie-

mnicy wiodą; ale tych łodyg nie każ ogniem wytracać, tylko je ze mną w loch rzucić daj! A za dwa miesiące usłyszysz co nowego o mnie.

Król zezwolił, a tejże godziny, starca i całą kupę owych łodyg siwych cisnęli do lochu.

Byłby tam staruszek niechybnie z głodu zginął, ale mu przynosiła jeść córka dozorcy, młoda, śliczna i pracowita dziewczyna.

— A jak jej było na imię, nianiu?

— Na imię jej było Rózia. Rózia przychodziła codzień do lochu ze swoją prześlicą, na której przędła jedwab dla bogatej pani, i czekała aż się staruszek posili Pewnego dnia namówił ją ów więzień, że zamiast jedwabiu naskubała włókienek z onego zielska, nawinęła na prześlicę i zaczęła prząść. Ze żartów, ot, bo myślała, że z tego nic nie będzie.

Tymczasem patrzy, a tu równiuteńka niteczka snuje jej się a snuje, aż wrzeciono furczy. Zadziwiła się bardzo, a że jej jedwabiu już brakło, zaczęła one włókienka prząść. Kiedy już tego dużo naprzędła, rzekł jej sta-

ruszek: — Idź teraz do domu i tak jak z jedwabiu tkasz, tak i tę przędzę utkaj.

Rózia usłuchała staruszka. Na warsztacie z owej przędzy postaw naciągnęła, potem pięknie w poprzek zasnuła i zrobiła... płótno. Kiedy to właśnie było gotowe, przyszedł urzędnik królewski patrzeć, czy on stary więzień jeszcze żyje. Zadziwił się, że staruszek taki żwawy, więc powiada do niego:

— Proś o jaką chcesz łaskę, bo dziś królewska córka za mąż idzie.

Wtedy ów staruszek mówi:

— Dobrze. Chciałbym królewnie podarunek weselny dać i dlatego proszę, abym przed króla był stawiony.

Ano, urzędnik wypuścił go z lochu i pod strażą do króla przywiódł.

Spojrzy stary, a tu wielka moc pań i panów, królewna jak lilja, pan młody jak słońce, muzyka gra, kołacze aż pachną, pacholęta kwiatami drogę ścielą.

Zmarszczył król czoło na starego pojrzawszy; ale że to w takie gody gniewać się nie mógł, więc pyta, z czem tu przychodzi?

— Z podarunkiem dla królewny — mówi staruszek i rozwija przed królem ślicznie utkane płótno, które Rózia, nauczona przez niego, wybieliła na rosie i słońcu.

— Cóż to takiego jest? — rzekł król ciekawie.

— Królu-panie! Toć-ci jest owo złoto, które z owego siemienia, com ci je dał, wyróść miało. Len to był, ubogiego narodu bogactwo, com go z ziemi twojego królestwa dobyć chciał? Kazałeś go topić! Dobrześ uczynił, bo jego łodyżki w wodzie odmięknąć muszą. Kazałeś go z wody precz cisnąć? Dobrześ uczynił, bo go trzeba suszyć. Po moknięciu owem kazałeś go kijami z paździerzy obić? Dobrześ uczynił, bo tę złą paździerz obić trzeba z łodygi, żeby ją uprawić. Kazałeś je zaś powtórnie kijami obijać? I toś dobrze uczynił, bo do trzeciej skóry len obić trzeba i kijem go wyłamać, żeby do włókna się dostać. Kazałeś mnie do lochu wrzucić? I toś dobrze uczynił, bo mnie tam żywiła dobra dziewczyna, którą-m oto nauczył, jak się włókno lniane przędzie i na płótno tka. A toś tylko źle uczynił, żeś to

wszystko robił w gniewie i nie z wyrozumienia, ale z zapalczywości. Że to jednak taki dzień szczęśliwy dziś jest w twojej królewskiej rodzinie, więc ci z serca krzywdę moję odpuszczam, a na ręce królewnej ten oto dar składam. Królewna niech każe po wsiach len siać i tak go sprawić z rozwagą i miłością, jakeś go ty królu z gniewem sprawiał, a z płótna niech da koszule dla wszystkich sierot i niemocnych szyć, co jest więcej, niż złoto, bo jest poratowanie ubóstwa i niedostatku.

Skończył stary, a król słuchał jeszcze, i aż na twarzy ze wstydu się mienił, że tak ukrzywdził niesłusznie człowieka. A zaś potem wstał, starca w ramiona wziął, przeprosił i koło siebie posadziwszy rzekł:

— Dziękuję ci, mój ojcze, żeś mi to uczynił, czego moje niespokojne chęci uczynić nie mogły. Złota chciałem, a tyś mi lepszą rzecz dał, bo w złocie możni tylkoby chodzili, a w tym lnie oto cały lud mój ubogi chodzić będzie.

I zaraz dał krajać koszule z płótna onego

i sierotom rozdzielić, z czego wielka radość była w całym kraju.

— A wesele królewny?

— A cóż? Wesele jak wesele, odbyło się ślicznie, pięknie i już. Królewna jak zorza, królewicz jak słońce, muzyka — jakby słowiczki śpiewały w różanym sadzie, a kołacze pachną zdaleka. I ja tam byłam, miód i wino piłam; a czegom dopatrzyła, tom powtórzyła.

— Pawłowa! Pawłowa! — zawołała mama. — A kiedyż tam będzie koniec tej bajki?

— Już, już! mamuńciu — krzyknęła Julisia. — Już się skończyło.

— No to pójdźcie tutaj!

— Zaraz! zaraz! — zawołała Julisia — tylko podziękuję Pawłowej.

I porwała za szyję starą nianią i serdecznie ją ucałowała.

A Pawłowa na to:

— Panienko-serce, nie darmo! Panienka za tę bajkę musi sama choć dla jednej sieroteńki koszulinę uszyć.

BIBLIOTEKA JANKA.

Urywek z pamiętnika.

BIBLIOTEKA JANKA.

Urywek z pamiętnika.

— Od Bożego Narodzenia zacząłem sobie zbierać bibliotekę. Poszło to ztąd, że mi ojciec na gwiazdkę podarował bardzo ładną książęczkę, która się nazywa: Pamiętnik chłopca. Kiedym tę książkę przeczytał, postanowiłem także pisać swój pamiętnik, bo to jest rzecz dobra i przyjemna. Potem znów przyszły moje imieniny, więc Zosia podarowała mi swego Robinsona. Kto ma dwie książki, to mu już o resztę łatwo. Wykleiłem tedy zielonym papierem jedną półkę nad łóżkiem i przylepiłem nad nią napis dużemi literami: „Biblioteka Jana Kowalskiego, założona dnia 24 grudnia 1890 r.“ — Cały pokój nabrał od tego zupełnie innej miny. Kiedy mama przyszła, rozśmiała się z tego napisu, ale naza-

jutrz dostałem od mamy „Pielgrzyma z Dobromiła“, który jest z obrazkami i ma czerwoną okładkę. Ojciec poradził mi, żebym pod biblioteką przybił skarbonkę i składał do niej na książki pieniądze, oszczędzone od moich drobnych wydatków. Ta myśl podobała mi się; skarbonka pod biblioteką wyglądała bardzo dobrze. Zaraz też zacząłem rozmyślać, jaką to ja sobie książkę kupię za oszczędzone pieniądze.

Odtąd, przechodząc ze szkoły do domu mimo księgarni, zatrzymywałem się parę minut i czytałem napisy wystawionych za szybą książek. Najpierw postanowiłem sobie kupić „Historyę o dwunastu rozbójnikach“. Ale kiedym się z tem zwierzył Stasiowi Chojeckiemu, rozśmiał się ze mnie i powiedział, że to jest historya nieprawdziwa, jaką sobie każdy sam wymyślić może i że się nigdy nie wydarzyła, więc straciłem chęć do tej książki. Zresztą powiedział mi Staś, że lepiej jest dowiadywać się o dobrych niż o złych rzeczach. I to jest prawda. Porzuciłem więc ten zamiar co do dwunastu rozbójników i znów zacząłem przyglądać się książkom, stojąc przed

wystawą księgarni. Ale nic jakoś upatrzyć nie mogłem.

— Wiesz co? — powiedział raz Chojecki — kup sobie: „Życie marszałków Francyi". Jestto prześliczna książka. Obrazków w niej pełno, sami sławni ludzie i insi rycerze, a konie jakie! Już nawet przerysowałem jednego. Jest tam także i książe Józef Poniatowski... Bitwy, wojny, a wszystko prawdziwe, nic nie wymyślone, a takie ciekawe, że ci się spać nie zachce ani raz jak czytasz.

Bardzo mi się to podobało, co mówił mój kolega, więc postanowiłem kupić sobie „Marszałków". Obiecałem mu przytem, że za dobrą radę pozwolę mu przerysować ostrożnie jeszcze jednego konia, albo nawet i dwa. W pierwszym miesiącu zebrało się w skarbonce 43 groszy. Pobiegłem z niemi do księgarni. Ale tu się pokazało, że „Życie marszałków" jest daleko droższe i że za te pieniądze trudno jest kupić jakieś porządne, zajmujące dzieło.

Wróciłem tedy do domu z dość kwaśną miną. Już mi i obiad nie smakował nawet, choć była kaszka z rodzenkami. Po

obiedzie poszedłem do gabinetu ojca i przypatrywałem się książkom, które tam w szafach za szkłem są ustawione. Wtem wszedł ojciec i rzekł:

— O czem tak myślisz, chłopcze?

— Myślę, proszę ojca, — odpowiedziałem — ile to ja jeszcze miesięcy muszę czekać na to, żeby sobie kupić nową jaką książkę do mojej biblioteki.

— A ileż oszczędziłeś w tym miesiącu? — zapytał ojciec.

Powiedziałem, że 43 grosze, ale że muszę jeszcze z tego kupić kredy za grosz, bo już nie mam.

— I jakąż książkę chciałbyś sobie kupić? — zapytał znów ojciec.

— Ja chciałbym, proszę ojca, „Życie marszałków Francyi“ — odrzekłem, a serce zaczęło mi bić mocno.

— Hm! — rzekł ojciec — to droga książka.

Pomyślał przez chwilę i rzekł:

— Ale możnaby na to znaleść jaką radę.

Zarumieniłem się i słuchałem, co ojciec dalej powie.

— Są ubogie dzieci, — mówił ojciec jakby sam do siebie, — któreby za te czterdzieści groszy mogły mieć cztery elementarze... Zamilkł i zmarszczył czoło.

Widocznie namyślał się nad czemś, a ja tymczasem przestępowałem z nogi na nogę. Nagle podniósł ojciec głowę i rzekł:

— Wiesz co? Urządzimy handel zamienny. Ja wybiorę z pośród moich książek te, które się stosowne okażą dla ciebie i założę z nich na dolnej półce biblioteki stałą antykwarnię, a ty będziesz kupował elementarze dziesiątkowe za pieniądze, które oszczędzić zdołasz. Za każde 10 elementarzy dostaniesz książkę.

Skoczyłem ojcu na szyję, i ucałowałem go serdecznie.

Wkrótce przekonałem się, że jak wielu rzeczy, tak i oszczędności uczyć się trzeba. W ciągu miesiąca miałem już dwa złote w skarbonce. Ledwom mógł otwarcia jej doczekać. Natychmiast dołączyłem do nich owe 40 groszy i pobiegłem do księgarni po elementarze. Kiedym je ojcu zaniósł, pochwalił mnie, a potem podał mi sporą

książkę zawiniętą w papier. Myślałem, że nigdy nie zdołam rozplątać sznurka, którym obwiązaną była. Kiedym ją nareszcie odwinął i spojrzałem na tytuł, krzyknąłem z radości i poczułem łzy w oczach. Byli to... „Marszałkowie Francyi“.

Natychmiast sporządziłem katalog moich książek. „Życie marszałków“ stoi w nim na pierwszem miejscu. Do katalogu dołączyłem jeszcze cały arkusz czystego papieru. „Robinsona“ też obłożyłem w bibułkę niebieską, bo ma trochę podartą okładkę.

Od tego dnia biblioteka moja wygląda wspanialej. Na środku półki leżą Marszałki, na lewo Robinson, na prawo Pamiętnik chłopca i Pielgrzym z Dobromilu. Katalog przylepiłem na ścianie. Kiedy do mnie przychodzą koledzy, zaraz idziemy do biblioteki i wybieramy książki do czytania. Marszałków czytujemy tylko w większe święta.

Chojecki już przerysował jednego konia. Ma on także zamiar założyć sobie bibliotekę.

NA STRYCHU.

*9

NA STRYCHU.

„A psik!“ — kichnęła Mańcia wschodząc na ostatni szczebel drabiny, która w chacie starej Tomaszowej z sionki na strych wiodła: — „A psik!“ — kichnęła powtórnie, tym razem już z żartów. Istotnie z otwartych drzwi strychu dobywały się zmięszane, silne wonie ziół aromatycznych.

Kichnięciu temu towarzyszył wykrzyk wesołego śmiechu.

— Tomaszowa! — Co tam Tomaszowa robi? — Tabakę kręci?

— Dziecko drogie! Panienko! — zawołała stara wieśniaczka, a Mańcia jednym skokiem już była na strychu i zarzuciła obie ręce na szyję dawnej swej piastunki.

— Co to, Tomaszowa, czary tu jakie wyprawia? — wołała dziewczynka, biegając

wzdłuż ustawionej na kozłach deski, na której rozpostarte były kupki ziół suchych i świeżych; obok na ubitej z gliny podłodze stał koszyk pełen białego kwiecia, dalej płachta z której wyglądały zielone łodygi, wreszcie sito pełne lśniących żółtych kwiatów.

— Bogać tam czary, mój robaczku złoty! — rozśmiała się Tomaszowa. — A toć to moja apteka!

— Apteka?... A lekarstwo na figle jest?...

— Oj jest! — pogroziła palcem Tomaszowa.

Ale Mańcia już pobiegła na drugą stronę deski, i wsadziwszy nosek w kupkę przesuszonych liści, znowu kichnęła.

— Dajże Boże zdrowie! — rzekła dobrodusznie stara piastunka.

— Brrr!... a jakie mocne! — otrząsnęła się Mańcia.

— A mocne! mocne! — Sprawiedliwie powiedziałaś mój kwiatuszku. Mocne jest, bo moc w sobie ma. Taką moc, że to i człowiekowi pomoże i chorobie na stracenie idzie.

— A co to takiego? — zapytała dziewczynka.

— A toć mięta! Bo to nie znasz robaczku? — Ale nie ta żabia, co to po mokradłach sterczy na grubych łodygach, jakoby konopie. To jest mięta sprawiedliwa, pieprzowa, co jak ją wrzątkiem nalać, a choremu dać, to i boleści go ominą i język go do wieczora piecze.

— Niby znam... Niby nie znam! — mówiła Mańcia, przechylając główkę na jedną i na drugą stronę, i przypatrując się drobnym różowym kwiateczkom, rozpostartym na samym końcu deski.

— To tysiącznik, panienko. Nie wszędzie to znaleść można, ale drugi raz, jak się dobra ziemia trafi, to i na lada trawie urośnie. Okrutnie to gorzkie ziele; kładź miodu, kładź cukru, — nic. Niczem tej gorzkości nie ugasi. Ano gotują to ludziska i piją na febrę. Przeto też i zbieram, że Józiek gajowego ma febrę. Choć to i niezawsze pomaga, ale Karpielowi pomogło: dwa razy dnia dawałam mu po garnuszku,

ano i poszła sobie febra na bagna, bo też i ztamtąd przyszła.

— Aha! bzowy kwiat! — wykrzyknęła Mania, zajrzawszy do koszyka. Już sama wiem, że się to pije na poty. Najpierw się bierze cukier, potem żółtko, to się ubija, polewa odwarem z bzowego kwiatu i już. Ach, jakie to dobre! Ale tego to nie znam, dodała, wskazując płachtę w której były pęki łodyg o srebrzystych podłużnych listeczkach.

— To piołun, panienko.

— A na cóż to?

— E... — to tam takie lekarstwo nie dla panienki. Nie takie to słodkie, nie takie smaczne, jako bzowe ziele. To trza pięknie listków naskubać, we flaszkę wrzucić, wódką nalać, na słońcu postawić, niech sobie stoi. A jak przyjdzie taki czas, co człowieka w środku ściska, albo po jakiej surowiznie, albo, ot ze zimna, to trochę w kieliszek onej wódki nalać, wypić, to tak rozgrzeje, że to ha! Okrutną też w sobie gorycz ma on piołun; ale zdrowiu to nieraz pomoże.

— A to co? — zapytała Mania — dotykając białawych korzonków drobno pokrajanych.

— To ślaz, robaczku!

— Jakto ślaz? — Czy ja to ślazu nie znam? — Przecież ślaz ma dzwoneczko liliowo-różowe, a w każdym dzwoneczku jest jakby taki guziczek... Przecież to, co w ogrodzie koło płotu rośnie!

— Panienka wie jedno — rzekła Tomaszowa — a ja wiem drugie. Co insze jest kwiatek, a co insze korzeń. To przecie jest ślazowy korzeń; ino że pięknie opłukany i wysuszony. To lekarstwo na kaszel, na duszność. Stara Pawłowa gadać nie mogła, tak chrypiała, a jakem jej ślazowego korzenia nawarzyła, miodem pięknie osłodziła i pić dała, tak i chrypienie przepadło.

Ale Mańcia już pobiegła dalej. Leżała teraz przed nią kupka bladozielonych listków, tak otwartych, jakby skrzydełka do lotu!

— To lipa tak kwitnie! — zawołała wesoło. — A na cóż tego tak dużo?

— Ej — to się przyda! — Czasem dziecko niektóre, albo i człowieka taka gorącość ogarnie, żeby tylko pił, a pił: No, to się takiemu lipowego ziela zaparzy, coś nie-

coś przysłodzi i da. To bardzo w onej spiekocie i gorączce przyjemne jest... Choremu to się ino do szklanki ręce trzęsą...

— A to rumianek! — wykrzyknęła — zanurzając rączki między białe gwiaździste główki świeżo zerwanego kwiecia.

— A rumianek panienko, rumianek! — Ale że są dwa rumianki: jeden gruby, psi, co skuteczności w sobie nie ma najmniejszej, a drugi to znów ten prawy, co sobie pięknie, drobniutko rośnie, a bardzo człowieka na wnętrzu zdrowi.

— A to co? — pytała dalej Mańcia — wskazując na sito, pełne żółtych kwiatków.

— To jest dziewanna. — A to jej uzbierałam od tego przypadku, że się stary cieśla często zadychuje i raz wraz kaszle. To mu to tak wygładzi w gardle... Jeszcze jak mu tu płukanie ze szałwii zrobię i melisy dodam, to się starowina co nieco skrzepi...

— Macierzanka! — wykrzyknęła Mania. — Na co wam, Tomaszowo, tyle macierzanki? A jak pachnie! To ona mi tak w nosie zakręciła, kiedym tu weszła. A psik! A psik!... zaczęła kichać figlarnie.

Stara Tomaszowa śmiała się, kiwając głową.

— Oj mój robaczku! Oj moja panienko! A toć nie mało ja onej macierzanki nazbierałam i do twoich kąpieli, jakeś malutka była. Takiego ziela garstkę, dwie, do kąpiołki dziecku wsyp, otrąbek dodaj, to ci maleństwo rośnie, kieby ten kwiatek w sadzie...

— Aha... do kąpieli! — mówiła z roztargnieniem Mańcia. — Ale powiedzcie mi Tomaszowo, gdzie wy to wszystko zbieracie?

— Ano, gdzie ono co rośnie, to i zbieram. Jedno w domu, drugie w łąkach, insze w polu, insze po rowach, a znów insze to po górkach, po piaskach... gdzie to Pan Jezus Przenajświętszy temu rosnąć przykazał... każde ma swoje miejsce. Ze starej Tomaszowej roboty teraz niema, bo już lata ciężą, do ziemi przyciskają, — to ta sobie raniutko wstanie, kijkiem się podeprze, płachtę na plecy weźmie, koszyk też i idzie, pacierze mruczy, a owych ziółeczek po ziemi upatruje... To pszczółka brzęknie, to ptaszątko zaświergoce, to konik polny

zastrzyże, to żabka zielona „dżdżu“ z pod listka woła, to tu gdzieniebądź z pastwiska fujarkę zasłyszysz. A słoneczko ślicznie sobie het precz świeci, a one chmurki, jako te aniołeczki białe wiaterek pogania, a kłosy i trawy szumią, a szumią, właśnie jakby do człowieka gadały. Oj dobra ta ziemia, dobra! I chleba da i wody źródlanej i cienia da i owocu z drzewa i ziela nahoduje różnego na różne ludzkie słabości... Żeby ino ludzie tak ją miłowali, jako ona matką dobrą człowiekowi jest...

Zadumała się staruszka i trzęsła głową siwą. Ale Mańcia, której oczka świeciły jak dwie gwiazdeczki, skoczyła jej na szyję, wołając:

— Moja nianiu! Moja nianiu! Jak jeszcze po zioła kiedy pójdziesz, to mnie też weź z sobą.

— Ano, czemu nie! Jeśli tylko mama pozwoli. Ale musisz, kwiatuszku, rano wstać, bo to po rosie najlepsze zbieranie.

— Wstanę, nianiu, wstanę!

IZBA WIEJSKA.

IZBA WIEJSKA.

Izba Łuczyny jest duża i czysta. Łuczyna lubi porządek, bo wie, że on i ubóstwo przyozdobić może. Coraz to naznosi w cebrzyku wapna i obieli komin i ściany; czasem nawet coś nie coś się z tego dostanie poczerniałym belkom pułapu. Drzwi od izby zbite są z desek sosnowych. Kiedy słońce zabłyśnie na wschodzie, to smolne szpary i sęki przeświecają jakby szczerem złotem.

A tuż zaraz odzywa się jaskółka, która w sionce nade drzwiami ulepiła gniazdko i świergotem swoim budzi Małgosię, najstarszą córkę Łuczyny.

U drzwi na zewnątrz jest skobel żelazny, a przy nim na sznurku drewniana przetyczka. Kiedy Łuczyna z Małgosią w pole na robotę idzie, a Jędruś i Kasia,

dwoje młodszych dzieci, pasą graniastą krowę na ugorze, to skobelek zatyka się przetyczką, żeby do izby nie wchodziły kury i prosięta! W kącie przy drzwiach stoi duża brzozowa miotła, którą Łuczyna codzień chędogo wymiata izbę. W izbie nie ma podłogi z desek, tylko ubita mocno glina; taka podłoga z gliny nazywa się boisko. W boisku pod ścianą, w najciemniejszym kątku jest otwór, którym ze swojej jamki wysuwają się na izbę białe puszyste króliki. Jak tylko zobaczy to Jędruś, zaraz je do siebie zwołuje i daje im to liści kapusty, to listków sałaty, to ziemniaków trochę. Jędruś bardzo się w królikach lubuje i wychował już sporą ich gromadkę. Jak nachowa ich więcej, to sprzeda i kupi sobie bucięta na zimę, bo matce ciężko wszystkiemu zaradzić.

Obok miotły stoją w kącie grabie, rydel i motyka. Narzędziami temi uprawia Łuczyna swój mały, zarosły wiśniami ogródek, w którym oprócz zagonków kopru, buraków, bobu i sałaty, widać zbite w kupkę pod okienkiem różowe melony i żółte na-

gietki. Okienko ma szybki drobne i oddawna przepalone słońcem; śnieg je zasypuje zimą, a w lecie brzęczą po niem uprzykrzone muchy. Kiedy muchy zbyt w izbie dokuczą, Łuczyna wiesza u pułapu spory pęczek umaczanej w serwatce bylicy. Muchy łakome na serwatkę, wnet obsiadają bylicę tak, że aż czarno na niej; wtedy Łuczyna ostrożnie z dołu bylicę z muchami wsuwa w worek, a trzasnąwszy nim raz, drugi i trzeci o próg izby, wysypuje pobite muchy przed chatę, gdzie do specyału tego kury natychmiast się zbiegają.

Znaczną część izby zajmuje wielki, rozłożystym okapem opatrzony komin. Wczesnym rankiem, w południe i przed wieczorem rozpala Łuczyna wesoły, od suchego chrustu trzaskający ogień i gotuje przy nim to groch i kapustę, to barszcz z żytniej mąki, do którego czasem buraka dorzuci, to zacierkę, to kaszę tatarczaną, albo jaglaną, to nawet niekiedy, przy dużem święcie, siaki taki kawałek mięsa; ale najczęściej, bo trzy razy na dzień gotuje Łuczyna ziemniaki. Ziemniaki bywają albo

skrobane, albo w mundurach, czasem do kapusty, a nieraz do barszczu, albo do polewki, czasem do kwaśnego mleka; a na przednowku, kiedy w chacie bieda, to są tak wprost gołe z solą.

Z prawej strony komina stoi na trzech wysokich nogach tak zwany „miśnik“. Łuczyna zmywa w nim miski, garnki i łyżki. Nad miśnikiem przeciągnięty jest po ścianie sznurek, za którym sterczą pozatykane pokrywki. Nad sznurkiem przybite są dwie police. Na górnej, większej, stoją oparte o ścianę miski i rynki, oraz obrócone do góry dnem garnki. Niższa i węższa powyrzynana jest z brzegu w rowki, w których tkwią blaszane i drewniane łyżki i warząchwie.

Z lewej strony komina stoją dwie konewki i kubełek z wodą; nad kubełkiem wisi na ścianie drewniana czerpaczka do picia. Na szerokim okapie stoi sól w drewnianej solniczce, leży nożyk żelazny do szatkowania kapusty i skrobaczka do skrobania kartofli. Wszystkie te statki Łuczyna pięknie co sobota piaskiem u studni szo-

ruje, tak, że zawsze wyglądają jak nowe. Zaraz za konwiami stoją żarna. Jest to płytko wyżłobiona ciężka dębowa kłoda, w której otworze obraca się duży płaski kamień, osadzony na ruchomym drągu. Na tych żarnach miele Łuczyna mąkę dla dzieci i robi kaszę. Twardy to chleb i w pocie czoła zdobyty.

Za żarnami stoi na czterech cegłach ustawiona skrzynia. W skrzyni przechowuje Łuczyna swój nowy, w domu utkany wełniak, piękną kraciastą chustkę, fartuch zielony, watowany kaftan, trzewiki i wełniane zimowe pończochy. W półskrzynku leżą zawinięte w szmatkę dwa sznurki korali po matce i kilkanaście groszaków za jajka od siemieniatej kokoszy. Odzież Małgosi i Jędrka wisi na kołku, nad skrzynią; mała Kasia przez lato tylko w koszulinie chodzi; dopiero na zimę kupi jej matka jaką taką katankę cieplejszą, tylko uskłada pieniędzy za masło. Wie o tem Kasia i pilnie pasie Granulę, żeby aby więcej mleka na masło owo dała.

Wprost okienka stoi łóżko, na któ-

rem sypia Łuczyna. Wysłane jest ono prostą żytnią słomą i grubą lnianą płachtą, na której leży pierzyna i dwie kraciaste poduszki. Pod pierzyną tulą się przez całą zimę przy matce Kasia i Małgosia. Latem śpią dziewczęta na drugiem, tylko słomą i płachtą zasłanem łóżku. Jędruś też wtedy wynosi się z izby do stodółki na siano, i dopiero kiedy św. Marcin przyjedzie na białym koniu i zimnem postraszy, wraca chłopak na szeroki zapiecek, gdzie mu tylko z pod sukmanki nos widać.

Nad łóżkami wiszą oprawne za szkło obrazy: Matka Boska Częstochowska, św. Józef z lilią w ręku, św. Antoni z Dzieciątkiem Jezus i św. Barbara. Obrazy te stroją dziewczęta w kwiaty i w pachnące ziółka. Czasem to i Jędruś zatknie za ramę pawie piórko, gdy je gdzie znajdzie, przechodząc mimo dworskiego podwórka. Tuż przy łóżku stoi zydelek, a przed nim kołowrotek z nawiniętą lnem miękkim przęślicą. Na tym kołowrotku przędzie Łuczyna przez zimowe wieczory i „doświtki“, nim to jeszcze później dzień zimowy na dobre się roz-

widni. Za belką zatknięte motowidło i drążek, na którym wisi przędza pięknie w pasma pomotana. Cały kąt pomiędzy łóżkami a stojącą pod okienkiem ławą, przed którą stoi prosty wązki stół, zajmuje tkacki warsztat domowy. Kiedy jesienią roboty w polu i w ogródku skończone, rozsnuwa na tym warsztacie Łuczyna zeszłoroczną przędzę i tka płótno. To cieńsze na sprzedaż do miasta, albo do dworu, a to grubsze „poczesne“ na koszule dla siebie i dla dzieci. Z najgrubszego, które się „zgrzebne“ zowie, szyją się potem worki i płachty.

W takiej to izbie mija dzień po dniu, pracowite i pełne trudu życie wieśniacze. Dużo w niej troski, mało chleba i pociechy skąpo...

Pamiętajcie o tem dzieci, wchodząc na próg izby w wiejskiej chacie!

NASZE PTAKI.

NASZE PTAKI.

Dzieci niezmiernie lubiły starego Szymona. Kiedy przyszedł do dworu, natychmiast obstępowały go całą gromadką. Mały Janek sięgał do torby borsuczej, w której stary leśnik chował rożek z prochem, szrut różnego gatunku, kłaki do przybijania nabojów i inne myśliwskie sprzęty; Tadzio oglądał strzelbę o jednej bardzo długiej, powiązanej sznurkami lufie, którą Szymon żartobliwie „kozią nogą“ nazywał; Zosieńka dziwowała się wielkiej lisiej czapie z uszami, podnoszonemi na ciepłą porę, opuszczanemi na zimno, a Staś wieszał się na szyi starego leśnika, wołając:

— Opowiadajcie nam Szymonie! opowiadajcie!

Co było robić? Szymon siadał na ławie w ganku, przy nogach jego kładł się żółty podpalany jamnik, który starego nie-

odstępował, a zwał się „Lisek“, iż to już niejednego lisa na sumieniu miał, a dokoła, jak wianek paniątka, jedno przez drugie wyciągając szyję, otwierając buzię, aby tylko lepiej słyszeć, jak i co się w borze dzieje, jak to się pastki na kuny zakłada, jak się wypatruje zajęcze kotliny, jak się dzika objeżdża, jak wykurza lisa i borsuka z nory. Nieraz to się tak zasłuchają, że ich i na wieczerzę oderwać nie można.

A stary leśnik ciągle, jakby z książki prawi, udając to głosy różnych zwierząt leśnych, to psów ujadanie. Czasem to i trąbkę myśliwską przynosił z sobą. Próbowały na niej grać dzieci wszystkie po kolei, ale żadne nie mogło zastąpić. Dopiero kiedy stary Szymon w nią zadął, rozlegał się głos, choć chropawy trochę, ale tak donośny, że wszystkie psy w podwórku ujadać zaczynały, a żółty jamnik nastawiał uszy i cienkim głosem szczekał: hau! hau! jakby w kniei. A dzieci się cieszą i śmieją i klaszczą w rączyny, a Stasio powiada, że jak urośnie, to niczem nie chce być, tylko leśnikiem.

Ale najchętniej opowiadał Szymon o przeróżnych ptakach. Ludzie go nawet w młodości jego zwali „ptasznikiem“, iż każdej ptaszyny obyczaj znał i głos naśladować potrafił. I teraz jeszcze umie on tak udać czy przepiórkę, czy derkacza, czy wilgę, jakby ptasie gardło miał i ptasi język. Dzieci wiedziały o tem, że starego najłatwiej wyciągnąć na gawędę o tych leśnych i polnych śpiewakach; zaraz też, jak się tylko skończyło opowiadanie o lisach, nie jedno, to drugie wołało:

— Szymonie, a o ptakach? O ptakach teraz!

— O wróblach! — odzywała się cienkim głosem Zosia, która się z niemi najlepiej znała, bo jej mak wydziobywały z ogródka.

Ale stary Szymon gardził wróblami.

— Co mi to za ptak, — mówił, co swobody nie umie zażyć, tylko się wiecznie gdzieś po śmietnikach, po podwórkach koło domu kręci. Prawdać jest, że dużo liszek tępi, z których się brzydkie owady i niszczyciele wszelakiej drzewiny lęgną; ale sam

jest szkodnik, — a niech się tylko wiśnia albo czereśnia zapłoni w sadzie, już tam koło niej wróbli, jakby na odpuście, już świergocą, a łebkami kręcą, a co najpiękniejszy owoc kosztują, jakby go sobie same hodowały. A w prosie jakie szkody robią! Postaw straszka, to jeden dzień cicho. Taki wróbel będzie mi go oblatywał i przyglądał mu się z lewej i z prawej strony; ale choćbyś i ręce i nogi u owego straszka pięknie na kijach rozparł, choćbyś i kapelusz nasadził, to mój wróbel taki mądry, że zawsze zmiarkuje jak i co, i na drugi dzień prosto na głowie straszkowi siada, prosa się najadłszy; z ludzkiej to pracy żyje, darmozjad taki!

Już on się z tego próżniactwa i domu nie puszcza, bo tu zawsze raz na raz ma stół gotowy! Gdzie! I do obory trafi i do stajni. A jaki gospodarz! Siędzie sobie na wrotach, tak i tak główką wierci, niby to patrzy czy parobek obroku nasypał konikom do żłoba? Czy dziewka świeżą słomę krówkom nasłała? Ale takież to i gospodarstwo! Niech tylko zmiarkuje ziarno, za-

raz całą gromadą na żłób, dalej dziobać, dalej wyjadać, dalej rabować... Tfu! z takim ptakiem!

— No, a jaskółka? — pytała Zosia. — Wszak i ona przy domu się trzyma.

— Jaskółka to znowu co innego. Ona to jest ptaszyna gospodarna i ku człowiekowi skłonna. Pożywienie sobie w locie z wody, z powietrza bierze, muszkami drobnemi się karmi, lot ma szeroki, wysoki, w niewoli nie wyżyje, a do siedziby ludzkiej ciągnie, pod strzechą gniazdko sobie wije, poufałym domowniczkiem się staje. Jaskółka i jastrzębia najpierwsza dojrzy, i inne ptactwo o nim ostrzeże; ona i słotę gospodarzowi przepowie, choć kalendarza nie czyta... Jeszcze chmurki nie widać, a już jaskółka czuje, że deszcz albo burza będzie. Już nisko nad stawami i nad polem krąży, już piórkami ziemię zmiata, już po swojemu głosku dobywa, a krzyczy, żeby snopy z pola brać, a z łąki siano. Wszyscy ją też lubią, te miłą ptaszynę; a kot Matus nieraz cięgi wziął za to, że się nazbyt ciekawie gniazdku jej przyglądał, a wąsiska

przytem oblizywał. Niemała też jest radość we wsi, kiedy jaskółki z za morza wracają. Jakby ci oną wiosnę na skrzydełkach niosły, tak, że zaraz ciepło uderza, trawy się puszczają i gaj zielenieje, a na łąkach, na polach wynika kwiecie drobne, ślicznie woniące; a chociaż nieraz jeszcze i zimny ranek przyjdzie, już słońce przecież wyżej, a wyżej idzie, już ziemię ogrzewa, już w niej życie budzi.

Za jaskółką też, jak za wodzem, za hetmanem, lecą inne ptaki. Ba! i te największe czekają, aż im jaskółka hasło da, że już czas w drogę. Zaraz i bocian wyciąga długie swoje nogi i mocne skrzydła do lotu, i klaszcze dziobem i krąży nad gniazdem, które przed chłodem jesiennym porzucił. A tu dzieci z całej wsi biegną, i machają czapkami i biją w rączęta i krzyczą: bociek! bociek!...

A tuż o świcie, albo i o zachodzie słońca znów szum w powietrzu słychać... To gęsi dzikie lecą. Najpierw leci gąsior i gęga, a za nim stado po dwie, po trzy gąski; aż jak chmura na żerowisko zapa-

dną i zabielą pole i łąkę... Zaraz i żóraw nadlatuje z drogi, krucząc jękliwie pod cichem niebem i na łąki steruje i staje na wysokich nogach i otrząsa skrzydła siwe z tej mitręgi podróżnej, z tego cudzego pyłu i prochu, i chodzi sobie nadobnie po mokradłach a tępi żaby i płazy różne...

Już coraz cieplej, coraz piękniej na świecie. Nad lasem ciągnie słonka żółtawa z dzióbkiem bardzo długim; ptak wyborny w smaku, ale do ustrzelenia trudny, bo ostrożny bardzo i wysoko trzymający się w lesie; nad łąkami czajka krzyczy, kołując szeroko, żeby nikt upatrzeć nie mógł, gdzie gniazdko usłała...

Już się teraz zaczyna życie i wesele. Gdzie pójdziesz, gdzie staniesz, gdzie spojrzysz, — już ci furkot i trzepot ptaszy i przeróżne nutki i głoski... Wyjdziesz w pole, to cię skowronek wita; nie dojrzysz go, bo szarą strzałką wysoko w błękit leci; ale jużeś czapkę zdjął i oczy ku niebu na modlitwę podniósł, aby się onej ptaszynie Boga chwalącej wyprzedzić nie dać.

Idziesz w gaj, jużci uciecha nowa. Tu

ci zięba, tu pliszka szczebioce, to sikorka z gałązki się odzywa, tu gajówka wesoła raźnie śpiewa, tu piegża, tu czyżyk, tu szczygiełek gwiżdże, tu ci różne głoski zabiegają drogę, jakby kapela ukryta po zielonych prątkach. Im dalej w maj, tem muzykantów więcej... Już i słowiczek kuranty swoje śliczne wycina, już i wilga gwiżdże i kukułka kuka i gwar się mnoży różnorodny i szelesty rosną z dnia na dzień.

— A w lesie, w lesie, kochany Szymonie?

— Wejdziesz w las, znów inna muzyka. Tu ci gołąb dziki grucha, siwe piórka jeży, tu szpak śwista, a kos go podrzeźnia, tu ci dzięcioł jakby w bęben kuje, tu kraska modrem skrzydłem miga; tu znów gra ptactwo wszelakie, a tak różne, że mógłbyś od świtu do nocy chodzić i jeszcze się wszystkich głosów nie dosłuchasz. A nad lasem jastrząb cichaczem krąży i na ptaszęta drobne czatuje; to znów kania, jak ciemna plama zakryje ptaszynie słońce i strachem ją przejmie, to wrona szkodnica z wrzaskiem po wierzchołkach sosen siada i upatruje

okrągłem okiem bezpiórych piskląt śpiewaczych... Bo i między ptactwem są rabusie, co dobrem cudzem i żywotem cudzym się tuczą.

— Ale Szymon nie da małych ptaszków brać brzydkiej wronie? — odezwał się żałosnym głosem Janek.

— Ani jastrzębiowi! — zawołała Zosia

— Ano broni się tam tego drobiazgu i ochrania jak może — odpowiedział leśnik. Nieraz to sobie ciągnie taki pan „młynarz“, jastrząb białawy, właśnie jakby w młynie mąką się zapruszył i coraz wyżej, coraz wyżej dźwiga skrzydliska, żeby lepiej gniazdo gołębie obaczyć. A w gniazdku pisklęta bezpióre jeszcze i drżące, a nad gniazdkiem matka w skrzydła bije i przerażona patrzy na jastrzębia, na zbójcę swych dziatek, i krzyczy a grucha i kołuje i piersi własnych nastawia, a jastrząb coraz bliżej, coraz większe koła nad gniazdkiem zatacza. Wznosi się wreszcie w miejscu, jak strzała, żeby z większym impetem na one niebożęta natrzeć, aż tu, paf!... i bęc.

Tu stary Szymon swoją „kozią nogę“

brał do oka, podnosił, mierzył i strzał udawał. Chłopcy tylko na to czekali. Natychmiast wystawiając ręce, udawali, że strzelają także. „Paf! paf! paf! — rozlegały się głosy po ganku, żółty jamnik zrywał się i zaczynał ujadać, a psy w podwórzu od-odpowiadały mu chórem.

Ale Zosia nie lubiła tego.

— Cicho! cicho już! — wołała, zatykając sobie uszka palcami.

— Cóż, zabity jastrząb? — pytał z uśmiechem Szymon.

— Zabity! zabity! — odpowiadali chłopcy.

— No to możemy iść dalej — mówił stary leśnik, i zażywszy tabaki, tak kończył rzecz swoją:

— Na mokrych łąkach, na stawach, w trzcinie, znowu co innego. Tam derkacz skrzypi, sznurkując głęboko w trawie, to bąk huczy basem z wieczora, tu kulik ostrym głosem się odzywa, tu kaczka dzika porwie się z szumem i kwakaniem, nury nurkują w oparzeliskach, a kurka wodna przelatuje, i zapada w oczerety, a wszystko to według

sposobu swego życia do wody, do błota nawykłe, pływa, nurza się, pluszcze, aż głucho dokoła.

Po suchych, dużych borach, trzyma się ptactwo wybornego smaku: jarząbek tu się na jałowcach pasie, paszkot pstrokaty, setny ptak, też się da podejść; cietrzew tokuje, głuszec gniazdo ściele z traw suchych. Dobra to zdobycz ptak taki, ale dopiero na jesień, kiedy się tłuszczem obleje. Już tam wtedy człowiek i nocy nie dośpi, aby tylko co ustrzelił, a do domu przyniósł...

— A na polu, nie ma ptaszków? — zapytał Tadzio.

— Jakże nie ma? — powtórzył Szymon — są i na polu takoż. A nie pamięta to panicz, jakeśmy kuropatwy widzieli w gryce, pod lasem? A przepiórki mało się to nakrzyczą: „pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!“...

— A prawda! — rzekł Tadzio.

— Kuropatwa i przepiórka ściele gniazda sobie w zbożu, po bruzdach, albo i na zagonie; w kartoflach także. Nieraz, to się prawie z pod nóg zerwie taka kuropatwa;

ale dobry gospodarz nie tępi jej, owszem, kiedy inne ptactwo jesienią do ciepłych krajów odleci, a pole puste już stoi, kiedy śniegi spadną i ziemię nakryją, dobry gospodarz tu i owdzie ziarno sypie, żeby kuropatwy nie ginęły z głodu...

— To i my też będziemy tak robili! — zawołał Stasio.

— Dobry gospodarz, dobry człowiek, to żadnego ptaszęcia nie tępi i nie prześladuje. On kocha ptaszyny za to, że mu jego ziemię umilają śpiewem swoim.

— Ja wiem! ja wiem! — zawołał naraz mały Janek. Ja się tego w książce uczyłem:...

I ptaszyna dzieło Boże,
Chwałę Stwórcy wyśpiewuje.
Kto się nad nią pastwić może,
Ten złe serce okazuje.

OBRAZ.

OBRAZ.

— „Z powodu smutnych okoliczności, jest do sprzedania obraz olejny dobrego pendzla, za umiarkowaną cenę.“ — Takie ogłoszenie przeczytał głośno Józio w rozłożonym przed sobą „Kurjerze“.

— Gdzie? — zapytał ojciec, który pijąc herbatę, przysłuchiwał się czytaniu chłopczyka.

— Na Starem Mieście, pod Nr. 15, mieszkanie 32 — doczytał Józio i spojrzał na tatę wymownie.

W spojrzeniu tem można było wyczytać dwie rzeczy: pierwszą, że Józio bardzo lubi obrazy i drugą, że ma litościwe serce. Ale ktoś bardzo domyślny odgadłby może jeszcze i rzecz trzecią, a mianowicie, że nazajutrz przypadały imieniny Józia i że mu tata dawno już obiecał kupić kiedyś obrazek jaki na wiązanie. Tego wszystkiego musiał się domyśleć ojciec Józia, gdyż popatrzył na zarumienioną twarz syna i rzekł:

— Pójdziemy tam jutro.

Józio ledwo mógł dospać tej nocy, tak go zajmowała myśl, o owym niewidzianym jeszcze, a już upragnionym obrazie: przedstawiał sobie jego treść, jego wielkość, nawet jego ramy. Szybkim też krokiem podążał z rana przed tatą ku Staremu Miastu, nie zważając nawet na silny wiatr, który deszczem w oczy zacinał i przejmował chłodem do kości.

Dopiero kiedy doszedł do końca Podwala, zaczął uważniej rozglądać się po kamienicach, aż ujrzawszy Nr. 15, zatrzymał się i czekał na ojca.

Kiedy w bramie zapytali o numer 32 mieszkania, stóż odpowiedział niechętnie, że to nie żadne mieszkanie, tylko facjatka na strychu. Bardzo też zdawał się zadziwiony, że przybyły pan z synkiem wcale się tem nie zraził, ale na wschody wstępować zaczął. Pierwsze i drugie piętro jako tako oświetlone były; na trzeciem należało się już dobrze pilnować poręczy — dalej zaś nie było już poręczy, tylko wązka drabina, po której trzeba było iść zupełnie po omacku. Ojciec potarł zapałkę i zobaczył

tuż przy drabinie owej niskie i licho sklecone drzwi, przez które dolatywał łoskot puszczonej w ruch maszyny do szycia. Na drzwiach naznaczony był Nr. 32.

Ojciec zastukał raz i drugi, gdyż dzwonka nie było, aż wreszcie zgrzytnął rygielek, drzwi się otwarły, a w nich ukazała się wysoka i szczupła postać czarno odzianej kobiety.

Przybyli uchylili kapelusza a ojciec zapytał, czy tu jest do sprzedania obraz, o którym było ogłoszenie we wczorajszym „Kurjerze“. Czarna postać usunęła się, skłoniwszy głowę, i wpuściła przybyłych do izdebki. Była to schludnie wybielona, lecz bardzo niska stancyjka, z klinowatym, wznoszącym się nieco ku okienkowi sufitem, o który dobrego wzrostu człowiek mógł niemal głową trącić. Na pierwszy rzut oka dostrzedz było można w izdebce wielki niedostatek i wielki ład zarazem. Dwa ubogie tapczany, szafka z kuchennym sprzętem, wieszadło z trochą odzieży, mała komódka, na niej lampa, — stanowiły prawie całe jej bogactwo. Pod jednem okienkiem stała we wgłębieniu ma-

szyna do szycia, a przy niej koszyk z robotą, pod drugiem stał zarzucony książkami szkolnemi stolik, od którego powstał i powitał przybyłych ukłonem nieco starszy od Józia chłopczyk, w wytartym gimnazyalnym mundurku. Wprost maszyny, na miejscu najlepiej oświetlonem w tej chwili, wisiał niewielki obrazek, w starych złoconych ramach. Józio wpatrzył się w niego ciekawie.

Był to pięknie malowany krajobraz, przedstawiający staroświecki dwór wiejski, z obszernym gankiem, przed którym bawiła się gromadka dzieci. Wielka, stuletnia lipa ocieniała ganek, na prawo widać było piękny ogród i długą topolową wystawę, na lewo chaty wiejskie i wiodącą do nich drogę, na której czernił się krzyż stary, pochyły. Słońce zachodzące rzucało na drogę tę jaskrawe blaski, oświetlając wracających z pola żeńców i pędzone z pastwisk trzody. Krajobraz był pospolity, niewyszukany, ale miał wiele swojskiego uroku. Lipy i topole zdawały się szumieć, gwar dzieci, szczebiot jaskółek, pieśń wracających kosiarzy i ryk trzód — słychać było nieledwie. Wszystko



tu tchnęło spokojem ślicznego letniego wieczoru.

Wpatrzył się Józio, wpatrzył się i ojciec w ten śliczny wiejski obrazek, a czarno ubrana pani tak mówiła cichym, miłym głosem.

— Jest to dom, w którym urodziłam się, wychowałam i spędziłam najszczęśliwsze lata; tam także przyszły na świat moje dzieci, ot te, które się przed gankiem bawią, a z których został mi się tylko ten syn jedyny — dodała głaszcząc po głowie stojącego przy niej chłopczynę. Tam są groby rodziców moich i dziatek moich; tam życzliwe mi dusze w tych chatach żyją, tam krzyż, pod którym uczyłam się pacierza od matki. Wszystko to już nie moje. Wierzyciele wszystko zabrali. Niemiec Nagel założył browar w starej siedzibie ojców moich, nie wiem nawet, czy jeszcze stoi owa lipa stara i ów krzyż, których już nigdy, nigdy nie zobaczę...

A gdy tak mówiła, bujne, jasne łzy spływały po jej bladej twarzy.

— Ile pani chce za ten obraz, — zapytał ojciec, powstrzymując silne wzruszenie.

— Tanio sprzedam — rzekła wdowa, gdyż muszę zapłacić wpis za syna mego; inaczej wydalono by go ze szkoły — a tak się dobrze, tak wzorowo uczy.

Pomyślał ojciec przez chwilę i rzekł:

— Pani! kupuję ten obraz. Ale chcę być jego nabywcą warunkowym. Jako cenę obrazu będę płacił za syna pani, aż do ukończenia przez niego nauk, najpierw szkolnych, a potem i wyższych, jeśli potemu będzie miał ochotę. Co do obrazu, to pozostanie on w tem samem miejscu, aby syn pani, patrząc na tę siedzibę ojców i dziadów swoich, uczył się dobrze i pracował usilnie tak, iżby kiedy mógł wykupić z rąk Niemca rodzinny kawałek ziemi i mógł na stare lata wprowadzić panią pod ten dach ojczysty. Przeczuwam, iż on to uczyni kiedyś, dodał, kładąc rękę na ramieniu zarumienionego chłopczyny. Wtedy dopiero odda on ten obraz synowi mojemu. Czy zgoda?

Wdowa w milczeniu płakała, cisnąc rękę ojca do ust, a mały gimnazista rzucił się Józiowi na szyję.

Byli też odtąd przyjaciółmi.

OSTATNIA LALKA.

(List Hani do Julki).

OSTATNIA LALKA.

(List Hani do Julki).

— Wiesz Julciu? Nie bawię się już lalką! Tylko nie myśl, że z wielkiej powagi. Ja — i powaga! Cha... cha... cha! Jakie to zabawne. Zapytajno o nią mego brata Franka, z którym łazimy po drzewach jak koty, a kozły wywracamy nie gorzej od Stasiowego pajaca. Pst... Czy tylko nie słyszała ciocia? Okropnie by się martwiła. Ciocia powiada, że ja zawsze dzieckiem będę, a mówiąc tak — wzdycha. Może to istotnie jest rzeczą bardzo smutną, że małe dziewczynki nie noszą odrazu okularów i nie zażywają tabaczki, ale żebyś ty wiedziała, Julciu, jak mi dobrze, jak lekko, jak raźno, kiedy się porządnie naskaczę, nabiegam i nadokazuję. A jednak, kończę już rok dwunasty! Ciocia powiada, że jest to wiek,

w którym rozsądną być trzeba. Jeszcze z parę latek, a ubiorą mnie w długą suknię, włożą gorset, trzewiczki na wysokich korkach, włosy mi modnie zaczeszą, wachlarz w rękę dadzą — i będę dorosłą panną.

— Jakże się pani bawi w tym karnawale?

— Ja wybornie... A pani?

— Ja także wybornie! — Nic nie robię, tylko na balach bywam.

— To tak, jak ja!

— I ciągle sobie nowe suknie sprawiam.

— To tak, jak ja!

— I tak już jestem tem wszystkiem znudzona...

— To tak, jak ja!

— Ach Julko, płakać mi się chce, kiedy pomyślę o tem. Bądź zdrowa, moja krótka sukienko! Bądźcie zdrowe moje grube trzewiki, moje sterczące jak szczotka włosy, moje opalone ręce. Bądź zdrowa swobodo! Nie będzie już wtedy na świecie tego chudego, czarniawego licha, tego sowizdrzała, jak mnie tata nazywa; nie będzie już Hani!

Będzie „panna Anna", nieznośne, wykrygowane stworzenie, któremu już teraz mam ochotę wykrzywić się w lustrze.

Ale, o czem ja to miałam mówić? Aha! Nie bawię się już lalką. Znałaś moje lalki? Do tej po krakowsku ubranej Małgorzatki, dokupiła mi ciocia jeszcze jednę, którą Franek „Dydoną" nazwał. Miała ona białą suknię, rozpuszczone włosy i wzniesione ku niebu oczy. Żeby zaś zupełnie wyglądała na bohaterkę, przypiął jej Franuś prawą rękę szpilką do serca, tak jak trzyma pani sędzina, kiedy deklamuje. Otóż powiem ci szczerze, tak tobie samej tylko, że mi obie te lalki zupełnie obrzydły. Małgorzatka ciągle się śmiała, a „Dydona" zawsze wyglądała jak półtora nieszczęścia. Czego ty się śmiejesz, mówiłam nieraz do Małgorzatki? Czy nie widzisz, że dziś tata jest smutny, że mi lekcya źle poszła, że drogą przechodzi stary kaleka o kuli, że słońce zakryła chmurka? A ona nic, tylko się ciągle pod boki trzyma i zęby wyszczerza. Innym znów razem, i na świecie, i w duszy tak mi wesoło, dzień piękny,

wiosenny, ptaszki śpiewają, kwiaty pachną, słońce jasno świeci, same piosnki cisną się na usta, a moja „Dydona“ z ręką na sercu, z wzniesionemi oczyma wygląda tak, jakby wracała z pogrzebu.

Otóż od dwóch tygodni... Ale zaraz, muszę ci to opowiedzieć od samego początku. Dwa tygodnie temu, w chacie na końcu wsi wybuchnął pożar. Ach, Julko, żebyś ty wiedziała, co to był za straszny widok! Włosy mi stają na głowie, kiedy myślę o tem...

W tem miejscu przypomniało mi się coś że muszę ci to powiedzieć. Nasz ekonom Pawłowski jest zupełnie łysy, ale to łysy tak, że ze świecą szukaj, a nie znajdziesz włoska. Otóż ile razy cielak Antkowej wpadnie na naszą łąkę, biegnie Pawłowski do taty, i w progu już woła: — włosy stają na głowie, panie dziedzicu, co to chłopstwo szkody robi w polu... włosy stają... cielak Antkowej znów na łące zajęty. Ale to powiadam, że włosy stają na głowie...

A tata: — no, nie widzę znów, żeby tak

bardzo stawały... To i wypuść pan, panie Pawłowski tego cielaka, bo Antkowa chore dziecko ma, to wszystkiego upilnować nie może. A ja tacie buch na szyję, a Pawłowski tylko ręce wznosi, a oczy przewraca tak, że mu aż białka widać i cofając się za próg, półgłosem mruczy: „włosy stają na głowie, jak pan dziedzic to chłopstwo psuje... włosy stają...

No widzisz, jaka to moja powaga! Miałam ci mówić o rzeczy okropnej, a plotę ni to, ni owo. Ale już zaczynam. Otóż kiedyśmy tam wszyscy pobiegli do tego pożaru, patrzę ja, a tu biegnie z pola Antkowa, która właśnie w tej chacie mieszkała. Ach moja Julko! Choćbym sto lat żyła, nigdy tego nie zapomnę. Zdawało się, że biedną komornicę wiatr nad ziemią niesie, a jej krzyk przenikał powietrze i głuszył całą wrzawę, jaką ludzie przy gaszeniu pożaru sprawiali.

— Moja Kasia! Moja Kasia!...

Teraz mi się jeszcze zdaje, że ten głos jej słyszę! Wpadła w tłum, rozepchnęła ludzi i rzuciła się do drzwi komory. Ale tata

ją uprzedził, wskoczył przez okno, i w moment znów na niem stanął z małą dziewczynką na ręku.

— Trzymaj! krzyknął na mnie tata, widząc, że kobiety obstąpiły komornicę, która u drzwi chaty bezprzytomna padła, i że nie ma kto dziecka odebrać.

Aż mi się serce zatrzęsło z radości. Otuliłam fartuszkiem dziewczynkę i pobiegłam z nią pędem do dworu. Z tej uciechy nie czułam nawet, że Kasia jest porządnie ciężka. Kiedym weszła do mego pokoiku, patrzę, siedzi „Dydo“ z ręką przypiętą do serca i wzniesionemi oczami, a Małgorzatka taką ma minę, jakby się zaraz chciała puścić w taniec. Taka mnie na to złość wzięła, a lalki wydały mi się tak głupim pomysłem, żem obie te damy ze stołka zrzuciła, a siadłszy na nim z tulącą się do mnie Kasią, zaczęłam ją usypiać na ręku. Ach, to wcale co innego, niż taka malowana i wypchana trocinami, choćby też najpiękniejsza lalka! Biedne maleństwo usnęło wkrótce, a kiedy się zbudziło, nakarmiłam je mlekiem z bułeczką. Już dwa tygodnie mi-

nęły, jak biedna Antkowa chora leży i jak ja się opiekuje Kasią. Dziecina przywiązała się do mnie bardzo. Przyjedź tylko, a zobaczysz jakie jej koszulki poszyłam. A fartuszek to ma z różowej sukni Małgorzatki. Tata nazywa Kasię moją żywą lalką. Ale to co innego. O, zupełnie co innego! Czy wiesz? Przy Małgorzatce, przy Dydonie, często byłam leniwa, nieposłuszna, czasem nawet zła jak osa... Widzisz, mówię ci to szczerze. A przy Kasi strzegę się tych wad jak ognia, żeby ona złego przykładu nie brała ze mnie. Ani niedorzeczny śmiech Małgorzatki, ani zrozpaczona minka Dydony nic mnie jakoś nie obchodziły; a Kasia kiedy się zaśmieje, to jakby mi kto co najweselszego powiedział; a kiedy płacze, to i ja smutna, póki jej jakoś nie pocieszę. Jak urośnie trochę, to ją czytać nauczę, a teraz opowiadam jej bajeczki i uczę ją mówić wyraźnie, czysto. Nie uwierzysz, jakie to miłe zajęcie. Franek tylko nie kontent, gdyż mówi, że teraz nie tyle kozłów i nie tak dokazujemy jak pierwej, a co do cioci, to biedna ona znów wzdycha, mówiąc,

że przestaję być dzieckiem. Przyjedź, a osądzisz sama tę sprawę.

Kochająca cię

Hania.

Ale, ale! Małgorzatką bawi się Kasia, a Dydonę wozi Franek taczkami dokoła trawnika, lub też sadza ją na swojego kuca. Utrzymuje on, że ruch i świeże powietrze wyleczą ją z tej melancholii...

Całuję cię serdecznie

Hania

SEN LEONKA.

(Rozmowa).

SEN LEONKA.

(Rozmowa).

Leonek. — Co mi się też to dzisiaj, proszę ojca, śniło!

Ojciec. — Cóż takiego?

L. — Ale bo to nie było tak odrazu. To był taki sen, co miał aż... cztery części.

O. — Ho! Ho!... To nie żarty.

L. Ojciec się śmieje, a to był bardzo poważny sen i chciałem go właśnie opowiedzieć ojcu.

O. — Ale i owszem, mój chłopcze, mów! — Jakiż to był ten twój bardzo poważny sen?

L. — Czy od początku?

O. — Zapewne. — Najłatwiej ci będzie w ten sposób porządnie całość opowiedzieć.

L. — Ale bo... od początku... to było jedno głupstwo...

O. — Tak?... — No to niebardzo obiecujący początek.

L. — Śniło mi się, żem nad ziemią latał...

O. — Ale to bardzo piękny sen! — I cóżeś mój chłopcze widział w tej podróży?

L. — Najpierw to proszę ojca, widziałem ogromne pole... To była niby wiosna i skowronki śpiewały i niebo było takie jasne, czyste... A na polu jak okiem zajrzeć, jeden był tylko człowiek. Widziałem go doskonale: Twarz miał ogorzałą, głowę odkrytą, ręce ciemne, spracowane; odziany był w siermięgę lnianą, a nogi to miał bose. Ten człowiek orał. Lemiesz jego pługa głęboko szedł w ziemię czarną, a kiedy na zawrocie podnosił go oracz, wtedy świecił pod słońce, jak srebrny. Dwa sine woły mozolnie pług ten ciągnęły, ale oracz, chociaż pot miał na czole, zgarbione plecy. śpiewał przecież pieśń, od której zdawało się, że mu sił przybywa.

On śpiewał w tej pieśni o tej czarnej ziemi, którą orał, a którą potem zasieje dobrem ziarnem. Śpiewał, jak cała niwa



zazieleni się młodem zbożem, jak potem kłosy zaszumią, jak kosą je zetnie, jak cepami wymłóci, jak potem chleb będzie z tej pracy... Śpiewał, jak ten chleb spożywać będą ludzie i jak od niego nabiorą siły do innej znów pracy. A kiedy tak śpiewał, to i pług łatwiej w ziemię szedł i woły raźniej szły i samemu oraczowi prostowały się plecy schylone... A śpiew jego łączył się z pieśnią skowronka coraz, coraz bardziej, tak, że już potem rozróżnić nie mogłem, co było głosem ptaka, a co głosem człowieka.

O. — Mój drogi chłopcze, to był bardzo, bardzo piękny sen!

L. — Ale jeszcze nie koniec — proszę ojca! Nagle wszystko się to jakoś zaćmiło, zmięszało razem, jakiś wicher przeciągnął polem i poniósł tumany piasku. Zaraz też i skowronek uciekł i słońce zakryły chmury i całe to pole zmieniło się zupełnie. Kiedy wreszcie opadła kurzawa, zobaczyłem, że drogą jedzie rycerz. Ten rycerz miał zbroję, błyszczący pancerz, kolczugę złożoną z drucianych ogniwek i rękawice żelazne. W je-

dnej ręce trzymał miecz, a w drugiej uzdę. Hełm okrywał mu głowę, na piersiach miał złocistą blachę. Koń rycerza także pokryty był zbroją i stąpał zwolna, raźno parskając. Rycerz jechał chwilkę w milczeniu, a potem zaczął śpiewać. Głos jego był jakby szczęk żelaza i szum skrzydeł wielkich, wielkich ptaków. Śpiewał o bojach, o zamku swoim, który ochraniać trzeba było przed najezdnikami, o krzywdach biednych rolników gnanych w jassyr, o pożarach i klęskach. A potem śpiewał o łupach bogatych, o niewolnikach nieprzyjacielskich, o zdobyczy bojowej, o sławie. A kiedy tak, proszę ojca śpiewał, zdawało mi się, że gdzieś słyszę okrzyki i wrzawę i głosy trąb i bicie w bębny i wołanie o pomoc. Aż wszystko nareszcie zagłuszyły dzwony. A kiedy dzwony zaczęły bić, rycerz zdjął hełm z głowy, a ja ze zdziwieniem ujrzałem, że to był ten sam oracz, tylko jakby zmieniony nieco w tym wojennym rynsztunku!

I biły tak dzwony daleko, szeroko, sławiąc rycerza i jego wielkie męstwo, aż na-

reszcie jeden z dzwonów pękł, zrobił się huk ogromny, a ja spadłem na ziemię.

O. — O... To był bardzo niemiły przypadek!...

L. — Ale mi się nic, proszę ojca, nie stało. Ani jedna kosteczka mnie nie zabolała. A choćby też i bolała mnie trochę, tobym nie czuł chyba, bo taki wspaniały obraz zobaczyłem w tej chwili, że to aż się coś dziwnego dzieje...

O. — I cóżeś zobaczył, drogi chłopcze?

L. — Najpierw to nic, proszę ojca, bo było zupełnie ciemno.

O. — No, to niewiele...

L. — Ale w tej ciemności słyszałem stuk taki, jakby kto kuł coś w ziemi. Potem błysnęło światełko, i zobaczyłem wielkie podziemie, którego ściany podparte grubemi belkami błyszczały odblaskiem różnych kruszców. Tu złoto, tu srebro, tam miedź czerwona, ale najwięcej żelaza. A w pośrodku człowiek schylony kuje i kuje te ściany, a światła coraz przybywa, a z kruszcu dobytego rosną domy, kościoły, wieże — całe miasto. Już podziemia wcale

nie widać, już do tego miasta płyną zdala okręty, a człowiek kuje i kuje. Ale nie jest to już kruszec surowy, który dobywa. On teraz kuje różne kółka, sprężyny, a przy tej pracy śpiewa. Śpiewa o bogactwie dobytem z wnętrza ziemi, o morzach dalekich, o miastach wspaniałych, o narodach, które jedne drugim podają owoce swej pracy; a w miarę jak śpiewał, z głosem jego łączył się huk maszyn, świst pary, łoskot toczących się wozów, plusk wioseł, zgrzyt pił i brzęk pieniędzy.

A kiedy człowiek ten podniósł głowę od swego warsztatu, zobaczyłem, że to znów był ten sam oracz, o którym mi się na początku śniło...

O. — Opowiadaj dalej, drogi chłopcze! Sen twój coraz więcej mnie zajmuje.

L. — Takem się tem zadziwił, że aż oniemiałem. A kiedym znów przyszedł do siebie, zobaczyłem wielką sklepioną komnatę, a w niej mnóstwo książek. Nietylko w szafach i na stołach, ale nawet na ziemi leżały. Ściany tej komnaty ozdobione były ślicznemi obrazami; stały też tam posągi

i popiersia z marmuru i bronzu. Tak byłem olśniony przepychem tej komnaty, że dopiero po chwili ujrzałem siedzącego nad wielką księgą człowieka. Czarno był odziany, na głowie miał płaską aksamitną czapeczkę, w koło siebie szkła powiększające, flaszeczki, cyrkle i różne drobne narzędzia, których użytku nie znam. Odwrócony był odemnie, alem spostrzegł jego delikatną, wychudłą rękę, którą był podparty. Naraz cudna muzyka rozbrzmiała w tej pięknej komnacie. Był to głos jakby organu, ale łączyły się z nim inne słodkie i przejmujące dźwięki nieznanych mi instrumentów. Wtedy człowiek podniósł głowę i zaczął śpiewać. Śpiewał o tem co piękne i co dobre na świecie i co mądre i co sprawiedliwe. Śpiewał o wielkich mężach, co zbudowali komnatę, malowali obrazy, napisali księgi, wyrzeźbili posągi i dobyli dźwięki cudne z muzycznych narzędzi. Śpiewał o ziemi i o niebie, o życiu i o śmierci, o myśli i o duszy, a kiedy śpiewał robiło się coraz jaśniej, jaśniej w komnacie owej, aż w najwyższym blasku ujrzałem twarz

jego... Był to jeszcze raz ten sam oracz, tylko że twarz jego była blada, a oczy paliły się ogromnem światłem. Krzyknąłem z zadziwienia — i nagle obudziłem się...

O. — A wiesz ty chłopcze, że to był sen równie piękny, jak prawdziwy.

— Prawdziwy, proszę ojca?

— Z pewnością tak! Ja ci go zaraz wytłomaczę. Twój oracz, twój rycerz, twój rzemieślnik, twój uczony — to były cztery stany jednego społeczeństwa, które sobie najpierw zdobywa chleb, żywność, jako pierwszą potrzebę życia; potem tej zdobyczy orężem broni; potem robi wynalazki, wprowadza przemysł, kupiectwo, a wreszcie zaspokaja potrzeby swego umysłu przez nauki i sztuki piękne.

L. — Prawda, proszę ojca!

O. — A nawet powiem ci, zkąd ci się ten sen tak pięknie ułożył.

L. — Zkąd, proszę ojca?

O. — Z rozmowy, jaką miałem wczoraj z twoim stryjem, a jakiej ty przysłuchiwałeś się tak ciekawie, żeś aż szklankę z herbatą łokciem przewrócił. Mówiliśmy

właśnie o mnożących się kolejno potrzebach społeczeństwa, czyli pewnego zbiorowiska ludzi na jednym kawałku ziemi osiedlonych i o różnych stanach, które te potrzeby do życia i do działania powołują.

L. — A prawda!... — Ale zkąd się to wzięło, proszę ojca, że to ciągle był ten sam oracz...

O. — Ztąd, mój chłopcze, że chociaż pozorne różnice takich stanów w społeczeństwie są bardzo wielkie, nieraz tak wielkie, że między jednym stanem a drugim tworzą jakby nieprzebytą zaporę, to przecież wpatrzywszy się dobrze, zobaczymy, że jest to zawsze jedno i to samo oblicze, jeden i ten sam, tylko coraz wyżej doskonalący się duch jednego narodu; o czem także mówiliśmy wczoraj.

L. — Ach, prawda proszę ojca! że ja też sam tego nie odgadłem... Ale w takim razie, to nie miałem się co snem moim tak chwalić, kiedy to wszystko poszło z wczorajszej rozmowy.

O. — Chwalić, zapewne! Ale dobrześ zrobił, żeś mi to tak ładnie opowiedział.

Twój mózg odegrał podczas twego snu rolę illustratora, który do jakiejś powieści dorabia obrazki. On ci to rozłożył i uporządkował rzeczy słyszane na te senne obrazy, które w nocy przesuły się przez twoją główkę.

Chciałbym, aby rzeczy pożyteczne mogły się zawsze tak utrwalać w twoim młodocianym umyśle... Chciałbym jeszcze jednej rzeczy...

L. — A czego — proszę ojca?

O. — Żebyś pamiętał o tem obliczu wiodącego pług oracza, które się potem tak i owak odmienia, ale jest w gruncie jednem i tem samem obliczem — ludu.

L. — Dobrze, proszę ojca! Nigdy nie zapomnę.

O. — Ale o tem jeszcze kiedy pomówimy.

NUDY I ZABAWA.

NUDY I ZABAWA.

— Proszę mamy, ja się nie mam czem bawić...

— Proszę mamy, mnie się nudzi...

Oto była zwyczajna śpiewka Ewuni, wałęsającej się z kąta w kąt i niewiedzącej nigdy, co z sobą zrobić.

— Czemuż się nie zajmiesz lekcyą, którą trzeba na jutro zrobić? — pytała mama.

— E... ciągle te lekcye...

— No, to pobiegaj sobie po ogrodzie. Tyle ślicznych kwiatków rozwinęło się tam po wczorajszym deszczu.

— E... ciągle ten ogród!

— No to może w pole pójdziesz ze mną. Kończą właśnie żyto, ojciec jest u kosiarzy, zaniesiemy mu podwieczorek.

— E... raz wraz w pole... cóż tam w tem polu ciekawego!...

— To weź igiełkę i poszyj trochę, albo dla siebie, albo dla laleczki...

— E... ciągle tam to szycie!

— No to może dać ci książkę? Tę z obrazkami, od dziadzia? — poczytasz sobie.

— E... ciągle tam to czytanie...

— A może chcesz się bawić swojem gospodarstwem? Dam ci trochę migdałów, trochę rodzenków, jabłuszko, ciasteczko, to wyprawisz bal dla siebie i dla Jasia.

— E... takie tam gospodarstwo!

— No więc czegóż ty właściwie chcesz, moja Ewuniu?

— Albo ja wiem?... Mnie się nudzi...

— Ależ moje dziecko, staraj się czemś zająć, zabawić! Sama sobie i innym staniesz się nieznośną tem ciągłem krzywieniem się i wałęsaniem z kąta w kąt bez żadnego celu. Patrz tylko, jak słońce świeci, jak jaskółeczka zbiera żywność dla swego drobiazgu, jak pszczółki rojem wylatują z ula na kwitnące koniczyny; patrz jak wszystko co żyje krząta się, zabiega i ży-

ciem cieszy. Słuchaj jak z pola płynie pieśń żniwiarzy, jak ptaszki wesoło śpiewają, jak muszki brzęczą radośnie...

Ty jedna tylko chodzisz zasępiona, bezczynna, ty jedna nie bierzesz udziału w tym ruchu, w tej pracy ochoczej, w tej wesołości powszechnej...

— I cóż ja winna, proszę mamy, kiedy mi się nudzi...

I o to małe słówko: „mnie się nudzi“, rozbijały się wszystkie usiłowania mamy, aby Ewunię rozerwać, aby ją rozruszać i zająć. Ewunia od samego już rana zaczynała ziewać, przy lekcyach to ziewanie wzrastało tak, że była obawa, aby jej się buzia nie rozdarła; obiad nie smakował, zabawki nie nęciły, aż wszystkie te kwasy roztapiały się w mazgajowatym płaczu, który Jaś porównywał do jesiennej, trzy dni trwającej słoty. Napróżno tata zwoził gry i łamigłówki, napróżno ciocia stroiła śliczne laleczki, napróżno dziadzio przysyłał piękne książki z obrazkami, napróżno babunia podarowała naszej panience szkatułkę, w której były włóczki, kanwa, igły i mały srebrny

naparstek. Wszystko to leżało zapomniane, nietknięte, pyłem okryte, a Ewunia ziewała a ziewała i wałęsając się z kąta w kąt, jedną tylko na uwagi mamy miała odpowiedź: „Kiedy mnie się nudzi“.

Aż raz przyjechała do rodziców Ewuni stryjenka, która też miała córeczkę Janię, a kiedy się zgadało o tych wiecznych nudach, na które narzekała Ewunia, uśmiechnęła się stryjenka i rzekła:

— Już jabym na te nudy znalazła lekarstwo. Pozwólcie tylko Ewuni, choć na miesiąc pojechać do mnie, a zaręczam, że powróci wyleczona zupełnie.

Spojrzeli po sobie rodzice Ewuni i na próbę taką przystali.

— Ha! — powiedział tata — niech jedzie! Może jej będzie weselej w obcym domu.

— Niech jedzie! — powtórzyła mama, choć jej się serce ścisnęło na myśl, że przez miesiąc nie zobaczy swojej jedynaczki. — Wolę, że będzie daleko, niż mam co dzień patrzeć na jej twarz skrzywioną. Cóż robić!...

Zarumieniła się zrazu Ewunia na te słowa mamy, ale to trwało jednę chwilę zaledwie; wkrótce zaczęła ziewać i krzywić się, jak to było stałym jej zwyczajem.

Nazajutrz stryjenka zabrała ją z sobą. Podróż była długa, trwała dzień cały, a rozespaną dziewczynkę przeniesiono wprost do łóżka z powozu. Jednakże wczesnym rankiem zbudził ją miły i wesoły głosik:

— Wstawaj śpioszku! Już siódma! Szkoda czasu, słońce tak ślicznie świeci!

Ewunia otwarła oczy i zobaczyła panienkę w swoim wieku, świeżutko ubraną, z ślicznie zaczesanemi włoskami i zatkniętą w nich gałązką jaśminu. Twarzyczka panienki kwitnęła zdrowiem, oczy podobne były do zroszonych bławatków; zręczne, żywe ruchy nadawały jej pozór ptaszyny, która tylko na chwilę się zatrzymała, aby poszczebiotać i zaraz odleci.

Była to Jania, jedyna córeczka stryjenki.

Ewunia chciała być uprzejmą i próbowała uśmiechnąć się na powitanie, ale otwarłszy usta, głośno tylko ziewnęła.

— Nie otwieraj tak szeroko buzi! —

zawołała śmiejąc się Jania, bo ci w nią wróbel wpadnie. — Zawstydziła się Ewunia i na łóżku siadła. Jania już tymczasem wytrzepała jej pończoszki, już jej podała spódniczkę i szczebiocząc jak jaskółeczka, pomagała się ubierać ociężałej i powolnej dziewczynce.

— Śpiesz się, śpiesz! — mówiła. Pójdziemy zaraz do stołowego pokoju przyrządzić dla mamy i dla nas śniadanie. Ojcu już dawno podałam kawę.

Ewunia szeroko otworzyła wpół zaspane oczy. Jakto? Ona ma przyrządzać śniadanie i sobie i jeszcze komuś? — Wszakże w domu zawsze jej wszystko podawano gotowe, nie wiedziała nawet, jak i zkąd się to bierze, ani kto się tem zajmuje.

— Czy to u was sług niema? — zapytała.

— Owszem — odrzekła żywo Jania — są, ale mają one i bez tego dosyć do roboty: jedna zamiata pokoje, druga oczyszcza potrzebne do obiadu jarzyny, trzecia prasuje dla mamy czepeczki, a każda się śpieszy, bo czas nie stoi, tylko leci.

Zadziwiła się Ewunia, zkąd ta mała dziewczynka wie, co robią służące w domu; ona sama nigdy się o to nie troszczyła. Tymczasem Jania poprowadziła ją do stołowego pokoju, położyła na stole czystą serwetkę i dostawszy z kredensu filiżanki, ustawiła je zręcznie i uważnie, Ewuni zaś podała serwetki, łyżeczki i nożyki, pokazując jak i gdzie położyć je trzeba.

Nasza panienka niebardzo była zachwycona tą nową dla siebie rolą; wcale też nie mogła pojąć, dlaczego Jania śpiewa sobie wesoło, biegając od szafy do stołu i od stołu do szafy: było to przecież takie nudne!

Jednakże przyznać musiała w duszy, iż śniadanie, około przyrządzenia którego samej się krzątać trzeba, inaczej jakoś i znacznie lepiej smakuje. Nie miała wszakże czasu długo nad tem rozmyślać, gdyż Jania sprzątnąwszy ze stołu, dobyła z jego szuflady miękką ściereczkę i rzekła:

— Pójdziemy teraz kurze pościerać. Dobrze? — I nie czekając odpowiedzi wybie-

gła do pokoju bawialnego, nucąc swoję piosenkę.

Ewunia patrzyła na nią zdumiona:

Czego się ta Jania tak cieszy?

Ziewnęła raz i drugi, przecież poszła także i stanąwszy w progu patrzyła na uwijającą się dziewczynkę, która z wielką wprawą ocierała z kurzu książki, obrazy, lampy, zwierciadła, a robiła to wszystko bez hałasu, bez łoskotu, kręcąc się jak mała myszka w szarej swojej sukience.

— Dawniej, w rannych godzinach miewałam lekcye — odezwała się odwróciwszy główkę do Ewuni, ale teraz wakacye, więc cały dzień mam wolny.

— Piękna mi wolność! — pomyślała sobie Ewunia — nakrywać do śniadania i wycierać kurze! — uśmiechnęła się lekceważąco i wzruszyła ramionami.

Jania nie przerywała swojego zajęcia; od czasu do czasu wytrzepywała ściereczkę przez otwarte okno, przemawiając to do jaskółki, która nad niem gniazdko uwiła, to do Brysia, który w pobliżu drzemał. A w ślad za każdym ruchem małej gosposi, sprzęty

których dotknęła, stawały się lśniące, czyste, cały pokój nabierał wdzięku i świeżości.

— Tak! — rzekła wreszcie, rzucając dokoła uważne spojrzenie — teraz weźmiemy książkę i pójdziemy do ogrodu czytać.

Ewuni propozycya ta nie zachwyciła bynajmniej.

— Ee!... — rzekła krzywiąc buzię — książkę?... a jaką?...

— Wybierzesz jaką zechcesz — odpowiedziała Jania uprzejmie i poprowadziła gościa do swego pokoiku. Ewunia była zdziwiona.

Ten pokoik schludny, czysty, zdawał jej się pustym prawie.

Nie było w nim tych gracików, tych fraszek, tych wygódek, które zapełniały bezładnie własny jej kątek i wśród których zazwyczaj stawała ziewając, niezdecydowana czem się zająć, czego się tknąć, co począć z sobą?

Pewna surowość i powaga przeglądała tu ze ścian bielonych i ze skromnych sprzętów. Jedynym zbytkiem tego pokoiku były

śliczne kwiaty, hodowane w doniczkach przez Janię. Do nich też najpierwej podbiegła, z wielkiem ożywieniem opowiadając Ewuni o wieku, pochodzeniu, czasie kwitnienia i sposobach pielęgnowania ulubieńców swoich. To im zajęło czasu dość dużo, gdyż Jania wiedziała o swoich roślinkach nietylko to, że rosną, ale znała ich ojczyznę, ich botaniczne nazwy, ich powinowactwa, rodzaje, gatunki; ojciec ją tego uczył, a ona w przedmiocie tym znajdowała wielkie upodobanie. Byłaby jeszcze długo mówiła, gdyby nie to, że mama zawołała ją do siebie.

— Baw się tu, droga Ewuniu, przez chwilkę — ja zaraz powrócę.

— A gdzież są twoje zabawki?

— Moje zabawki? — To wszystko co tu jest! — rzekła z uśmiechem, pokazując rączką półki z książkami i koszyk do szycia. — A przytem jeszcze dom cały, ogród, wieś... — I pobiegła do mamy.

Ewunia patrzyła za nią zdziwiona coraz więcej. Jakto? Jania nazywa zabawką szycie, książki, kręcenie się po domu i hodowanie kwiatów?

Obejrzała się po pokoiku raz i drugi, chcąc odgadnąć, co w tem wszystkiem zabawnego być może, ale nie dojrzała nic zgoła. Sięgnęła po książki. Nie były ani pięknie oprawne, ani nowe, ani przepełnione obrazkami. Wiele z nich służyło tylko do nauki. Jedynym zbytkiem był piękny atlas botaniczny, rozłożony na stoliku pod oknem: tuż przy nim leżał starannie dobierany zielnik roślin swojskich. Z początku Ewunia uśmiechnęła się wzgardliwie, spostrzegłszy w nim zwykłe polne kwiatki i mnóstwo tych pospolitych roślinek, które nazywała zielskiem. Gdy jednak zaczynała się im bliżej przypatrywać, spostrzegła, iż są dziwnie subtelne i wdzięczne, a coraz żywiej zainteresowana odwracała kartkę za kartką.

Wtem drzwi otwarły się zcicha, a na progu stanęły dwie dziewczynki wiejskie. Stanęły i zobaczywszy Ewunię zatrzymały się obie.

— Niema panienki? — zapytała starsza.

— Jest! jest! — zabrzmiał wesoły głosik wracającej Jani. — A dlaczego tak późno?

Dziewczynki witały Janię, uśmiechając się do niej wdzięcznie.

— Tatuś siano grabią — rzekła młodsza i chodziłyśmy pomagać...

Ewunia patrzyła zdziwiona.

— Po co one tu przyszły? — zapytała zcicha Jani.

— To moje uczenniczki! — odrzekła Jania.

— I czegóż ty je uczysz?...

— A, ot!... jedno z drugiem niewiele tego. Szyć je uczę, czytam im, piszą trochę, trochę rachują; czasem opowiadam jakieś zajmujące wydarzenie z przeszłości, czasem śpiewamy razem... No, macie tu Pielgrzyma z Dobromila — rzekła odwracając się do dziewczątek. Ty Kasiu czytaj głośno, a Marynka niech obrąbia chusteczkę. Tylko pięknie, czysto, równo! A co przeczytasz, to mi opowiesz później.

I uśmiechnięta mile usadowiła dziewczynki na niskich stołeczkach, dawszy im do rąk książkę i robótkę.

— Siedźcież tu i pracujcie pilnie! Je-

dna drugą niech przestrzega, bo ja dziś mam gościa.

I ujęła Ewunię pod rękę.

— Pójdziemy do mleczarni — rzekła — gdyż mama zajęta i trzeba mi ją wyręczyć.

— Do mleczarni? — powtórzyła Ewunia — po co do mleczarni?

— Trzeba odważyć i zapakować masło — rzekła Jania i pociągnęła za rękę Ewunię.

Ewuni coraz się to wydawało dziwniejszem; chodzenie do mleczarni uważała za coś bardzo pospolitego i zgoła niewłaściwego. Z pogardliwą tedy minką szła za Janią, zdala, niepewna czy jej towarzyszyć ma, ale ciekawość bądźcobądź przemogła i wkrótce obie panienki znalazły się w sklepionej chłodnej izbie, gdzie na ławach i na ziemi ustawione były płaskie donice z mlekiem. W pośrodku długi stół zastawiony był blaszanemi formami, w które Maciejowa nakładała śliczne, świeże masło. Jania natychmiast zaczęła jej pomagać; cegiełki masła dobyte z form zawijała w papier, ważyła je; szło to tak szybko, że Ewunia

napatrzeć się nie mogła na zręczny ruch tych małych rączek, i sama nawet śmiejąc się, zawinęła parę cegiełek, które powieźć miano do miasta.

— Idźże teraz umyj rączki — rzekła Jania — bo zaraz będzie obiad, a ja natychmiast przybiegnę.

— A gdzież idziesz? — zapytała Ewunia, która w jej towarzystwie bardzo smakować zaczęła.

— Natychmiast wrócę! — zawołała Jania z uśmiechem i znikła w cieniu rozłożystych lip, które tworzyły wspaniały szpaler wiodący do ogrodu.

Zaledwie wszakże zadzwoniono na obiad, zjawiła się, niosąc sporą wiązankę kwiatów i zieleni.

Część większą włożyła w duży wazon i ustawiła w pośrodku nakrytego stołu, a mniejszą umieściła w pięknym dzbanuszku przed talerzem Ewuni.

— To dla domowych — mówiła przytem wesoło — a to dla gościa. — I uściskała serdecznie Ewunię, która nie mogła wyjść

ze zdziwienia nad ożywieniem, pogodą, i uprzejmością tej rówieśnicy swojej.

— To po te kwiaty chodziłaś? — zapytała Ewunia.

— Nietylko po kwiaty. Chodziłam także zobaczyć robotę i wysłuchać opowiadania moich uczenniczek. One też pomogły mi zrobić ten bukiet.

Obiad przeszedł bardzo wesoło. Jania od czasu do czasu wstawała, aby wyręczyć mamę. Podała ojcu ulubioną szklankę, przyniosła mu do wody wybornego soku, o Ewuni też pamiętała bardzo gościnnie, sama pomagając Marysi, pokojowej, zamieniać nakrycia. Zauważyła Ewunia, że Jania zostawia na swoim talerzu to nieco rosołu, to mięsa kawałek, i że to na uboczu umieszcza.

— To dla starego Piotra — rzekła Jania spostrzegłszy spojrzenie Ewuni. — Zaniesiemy mu to razem, jeśli zechcesz.

Co prawda, to Ewunia wielkiej ochoty nie miała; ale w oczach Jani tyle było zachęty, iż przezwyciężyła swoje lenistwo i poszła.

Chata Piotra stała na samym końcu

wioski. Zanim tam doszły, Jania wskazywała Ewuni domostwa około których przechodziły, wymieniała nazwiska zamieszkałych je rodzin i imiona dzieci, wiek ich i liczbę.

Ewunia znowu zaczęła się dziwić.

— Jakim sposobem możesz o tem wiedzieć? — pytała.

— Jakim? — powtórzyła ze śmiechem Jania — ależ bardzo prostym! Przecież są to oddawna nasi zwykli sąsiedzi, a że są biedniejsi, więc potrzebują często naszej pomocy. To oni przychodzą do domu, to ja z mamą lub z ojcem przychodzę do nich, i tak poznaliśmy się wzajemnie. Jakby na potwierdzenie słów Jani, idące drogą dzieci uśmiechały się do niej: chłopcy zdejmowali kapelusze, dziewczęta przesuwały się nieśmiało, a zdaleka słychać już było głosy: — Nasza panienka! Nasza panienka!

Zamyśliła się Ewunia. I ona mieszkała na wsi, i ona z okna swojego widziała dwa rzędy wiejskich strzech słomianych; ale nie znała ludzi, którzy pod temi strzechami pracowali i żyli, ale nigdy nie przyszło jej na myśl, że ludziom tym mogłaby przynieść jakąś

pomoc, a przynajmniej życzliwe chęci. Obca im była i oni jej byli obcymi. Kiedy przechodziła drogą, nikt jej nie witał, nikt nie wybiegał z progów chat na jej spotkanie, i ona też tyle tylko wiedziała, że ci ludzie uznojeni i licho odziani — to są chłopi, z którymi panienka ze dworu nie ma nic wspólnego.

Tymczasem Jania weszła do chaty starego Piotra. Było to nędzne, niskie domostwo, w którem znać było wielką biedę. W małej izdebce, do której z Janią weszła, przez drzwi dolatywała woń lata i wchodził promień złotego słońca. Na tapczanie siedział siwy wieśniak i wiązał sieć drżącemi palcami. Zobaczywszy Janię, wypuścił sieć i obie ręce wzniósł ku wchodzącej.

— A mój kwiatuszku! A moje słoneczko! — wyrzekł cichym, trzęsącym się głosem. — Nie zapomniałaś o mnie, gołąbku! Nawiedziłaś sierotę!

— Witajcie! witajcie! — mówiła tymczasem Jania rozczulonym głosem. Jak się miewacie? Czy lepiej? Czy nie boli już noga? — Oto tu jest trochę rosołu i kawa-

łek mięsa, oto chleb, — dodała, wyjmując z koszyka przyniesiony kalece posiłek. — Pożywajcie z Bogiem!

Stary Piotr dziękował i posilał się zarazem.

— O moja panienko! O dziecko moje! — mówił przerywanym głosem — niech ci Bóg da zdrowie... nagrodzi... Żebyś urosła, jak ten kwiateczek różany, jak ta topolka... Żebyś była szczęśliwa!...

Nie chciała Jania słuchać tych pochwał i życzeń, ale zarumieniona pociągnęła Ewunię do progu.

— Przyjdę znów jutro — rzekła. — Zostańcie z Bogiem!

Stary kaleka złożył ręce i modlił się zcicha. Ewunia wyszła silnie wzruszona. Kiedy wróciły do domu, Jania rzekła:

— Jeżeli masz ochotę, Ewuniu, czytaj mi głośno, a ja będę sobie cerować pończoszki.

— Jak to? — zapytała zdumiona Ewunia. — To ty sama cerujesz pończoszki?

— Ej!... Nie muszę! Cóż znowu! Ale widzisz, ja uważam, że wszystko co potrafię

zrobić, zrobić powinnam. Zresztą — sama podarłam pończoszki, jest to więc rzeczą słuszną, abym je sama cerowała. A potem, żebyś wiedziała, ile nasza Anusia ma i bez tego roboty! A już na oczy raz poraz zapada, tyle lat prasuje i nad igłą ślęczy...

Mówiąc to, dobyła Jania ładny koszyczek z przyborami do szycia, w którym też były świeżo z prania przyniesione pończoszki.

Ewunia chcąc nie chcąc sięgnęła po książkę.

— To znam! — mówiła odkładając jednę. — To znam także. I to, i to.

Jania śmiać się zaczęła.

— Ależ moja miła! — Dobrą książkę można czytać parę razy z przyjemnością: Ojciec powiada, że dobra książka jest jak przyjaciel, z którym się chętnie gawędzi...

— I to znam także! — mówiła Ewunia, biorąc ostatnią z książek leżących na najwyższej półce.

— Pozwól tylko! — rzekła Jania, to sama wybiorę, i wzięła dość grubą książkę.

— Cóż to? — zadziwiła się Ewunia — przecież to książka do nauki... Patrz!... „Wypisy“! Jakież to nudne!

— Ale gdzież tam nudne! — Widzisz, spójrz tylko! — Patrz, co tu wierszy różnych, co opisów, opowiadań...

— Kiedy ja już to znam!

— Spróbujmy tylko, poszukajmy. Ot to naprzykład: „Wydra króla Jana“, śliczne opowiadanie! Czytałam już to kilka razy i zawsze się ubawiłam.

— Tego nie znam...

— No, a widzisz. — To tylko się tak zdaje, że już cię w znanej książce nic nie zajmie; tymczasem zawsze się jeszcze coś ciekawego znajdzie... Czytajmy tedy.

Ewunia ziewnęła raz i drugi raz ukradkiem. Poobiednie godziny były uprzywilejowaną porą jej ziewania. Zaczęła wszakże czytać, a lubo miała wielką ochotę zawołać, że ją to nudzi, wytrwała przecież aż do końca kartki. Druga kartka poszła już lepiej; trzecią była tak zajęta, że nie spostrzegła, iż Jania złożyła ukończoną robotę i słuchała, przekładając zielnik swój bibułą.

Naraz dał się słyszeć głos mamy, Jania wybiegła, a Ewunia sama już dla siebie doczytała opowiadania do końca.

— Ciesz się, ciesz, Ewuniu! — wołała tymczasem wracająca od mamy Jania. — Powieziemy podwieczorek kosiarzom i ojcu, bo i ojciec w polu... Bierz prędko kapelusz i schodź tu do nas na dół!

Kiedy Ewunia zeszła, pakowała Marysia na bryczkę duży kosz z chlebem, serem i sporą beczułką kwaszonych ogórków. Jania trzymała okryty serwetą koszyczek z podwieczorkiem dla ojca.

Krótką jazdę w pole do kosiarzy urozmaicał dobry humor i wesołość Jani, która okazała wiele wiadomości gospodarskich, praktycznych.

Wiecznie nudząca się Ewunia nie umiała rozróżnić pszenicy od jęczmienia, prosa od lnu, tatarki od koniczyny; z podziwieniem słuchała Jani tak swobodnie o nich mówiącej, jak o najlepszych swoich znajomych.

A nietylko nie obce jej były rodzaje zbóż i traw; umiała także nazwać każdego

ptaszka, każdego motyla ulatującego w cichem, przejrzystem powietrzu.

Po raz pierwszy Ewunia zaczęła pojmować, że w polu i na łące można się nie nudzić. A dopieroż kiedy bryczka wjechała do lasu, kiedy Jania zaczęła pokazywać swojej towarzyszce to sosny, to brzozy, to graby, to dęby i jarząbki, i mówić to o zajączkach i wiewiórkach, to o stukającym w oddali dzięciole, to o przeróżnych jagodach... — Cały las zdawał się nabierać życia, ruchu, wymowy, a to, co dawniej było dla Ewuni tylko ciemną, zbitą gęstwą, teraz występowało przed nią z niezmierną wyrazistością barwy, rysunku, obyczaju i życia.

Ani się spostrzegła, gdy tuż za lasem rozwinęła się szmaragdowa łąka, na której kilkunastu kosiarzy siekło wysoką, pięknie wyrosłą trawę. Zobaczywszy panienki i przywieziony przez nie podwieczorek, żeńcy zaśpiewali śliczną pieśń, którą echo daleko roznosi. Jania tymczasem krzątała się wraz z Marysią, rozdając chleb i ser robotnikom, a jednocześnie nucąc pieśń przez nich tylko co śpiewaną.

Nisko już było słońce, kiedy panienki wróciły do domu, a Ewuni zdawało się, że teraz właściwie ogarnie ją zwykła nuda. Już nawet otworzyła buzię do ziewnięcia, kiedy Jania przebiegając przez ganek z blaszaną koneweczką w ręku, zawołała wesołym swoim głosikiem.

— Prędko, prędko pomóż mi podlać róże przed oknami — parę dni deszczu nie było, a słońce nie na żarty przygrzewało dzisiaj. — I pociągnęła Ewunię za sobą.

— Alboż nie macie ogrodnika? — pytała Ewunia po drodze.

— Owszem, mamy; ale ogrodnik ma dużo zajęcia z samym ogrodem, bo lato suche; ja zatem wzięłam pod swoją opiekę róże, tembardziej, że są to ulubione kwiaty mamy. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby z powodu mego niedbalstwa powiędły.

Tak rozmawiając, napełniała Jania koneweczkę wodą, czerpaną z niewielkiego stawu, a Ewuni zajęcie to wydało się tak miłem, iż wyszukawszy sobie drugą koneweczkę, na wyścigi z Janią polewała prześlicznie rozkwitłe róże.

Tymczasem, wracające ze stadkami gęsi dzieci wiejskie zgromadziły się około przydrożnego krzyża, tuż za dworskim ogrodem. Zobaczywszy to Jania, uśmiechnęła się i rzekła: — A oto moi śpiewacy!...

I podeszła ku gromadce dzieci, które ją powitały serdecznie.

Ewunia stojąc wśród klombu róż, patrzyła na nią zdala. Widziała jak Jania głaskała po główkach najmłodsze z dzieci, jak z miłym uśmiechem rozmawiała ze starszemi, jak wreszcie klęknęła pod krzyżem, a za nią cała gromadka. W tejże chwili Jania czystym, dźwięcznym głosikiem zaczęła śpiewać pieśń Karpińskiego: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“, a za nią razem małe dziewczynki.

Ewunia była silnie wzruszona. W jej myśli przesuło się jej dotychczasowe życie próżniacze i bezużyteczne, w którem każdy dzień ciężarem był dla niej. Przypomniała sobie te przeziewane godziny, z któremi nie wiedziała co robić, tę pustkę, jaką czuła wśród najwykwintniejszych zabawek, tę przykrość wreszcie, jaką spra-

wiała rodzicom usposobieniem swojem. Jakież to ona „dzienne sprawy“ mogła ofiarować Bogu przy końcu tych dni i tych godzin przeziewanych próżniaczo, w których nikomu nie ulżyła w pracy, nie pomogła w strapieniu, nie przyniosła żadnej osłody, nauki, pociechy.

Spuściła główkę na piersi, a dwie jasne łezki spadły na jej zarumienioną wewnętrznym wstydem twarzyczkę. Była to chwila zwycięstwa nad samą sobą, chwila dobrych postanowień, chwila rozbudzenia się do nowego życia.

* * *

Kiedy po miesiącu powróciła Ewunia do domu rodziców, ojciec i mama nacieszyć się nią nie mogli. Wesoła, czynna, uprzejma, przez cały dzień zajęta to nauką, to ręczną pracą, umiała ona skorzystać z każdej chwili, aby zrobić coś pożytecznego.

Miejsce kosztownych zabawek zajęła igiełka, książka, śpiewanie i rozmowa z małemi dziatkami we wsi, poznanie się z gospodarstwem domowem, wyręczanie mamy.

— Nie pojmuję, jak ja się mogłam kiedyś nudzić — mówiła do mnie kiedyś Ewunia z miłym uśmiechem, — kiedy tyle jest do roboty w domu i na świecie.

— Chciałabym, żeby dzień był choć o parę godzin dłuższy — mówiła innym razem, podnosząc wzrok na zachodzące słońce.

O ziewaniu nie było i mowy.

SPIS RZECZY.